3 1761 08822334 2

H. Sienkiewicz

PISMA

LVII

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/pismahenrykasien57sien

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LVII

Korektę prowadził Dr. Kazimierz Nitsch.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S 5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM LVII

KRZYŻACY

CZĘŚĆ IX

486115
17. 2. 49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Ноября 1902 г.

KRZYŻACY

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

LXXIV.

Stary Maćko odgadł dobrze, ale tylko w połowie. Zbyszkowi istotnie jedna część życia skończyła się całkowicie. Za każdem wspomnieniem było mu Danusi żal, ale sam przecie powiadał, że lepiej jej musi być na dworcu niebieskim, niż było na książęcym. Zżył się już z myślą, że jej na świecie niema, przywykł do niej i uważał, że wcale nie mogło być inaczej. Swego czasu w Krakowie podziwiał bardzo na szybach kościelnych wycięte ze szkła i pooprawiane w ołów postacie różnych świętych panienek, barwne, przeświecające w słońcu, a teraz wyobrażał sobie tak samo Danusię. Widział ją niebieską, przeźroczystą, odwróconą bokiem, ze złożonemi rączkami, ze wzniesionemi oczyma i grającą na luteńce wśród różnych zbawionych bożych skrzypaczków, którzy w niebie grywają Matce Boskiej i Dzieciątku. Nic już w niej nie było ziemskiego, a stała mu się duchem tak czystym i bezcielesnym, że gdy czasem wspo-

mniał sobie, jak w leśnym dworcu posługiwała księżnie, śmiała się, rozmawiała, siadała z innymi do stołu, przejmowało go jakby zdziwienie, że to być mogło. Już w czasie wyprawy, przy Witoldzie, gdy sprawy wojenne i bitwy pochłaniały jego uwagę, przestał tęsknić do swojej nieboszczki, tak, jak tęskni mąż do niewiasty, a myślał tylko tak, jak myśli pobożny człowiek o swej patronce. W ten sposób miłość jego, tracąc stopniowo ziemskie pierwiastki, zmieniała się coraz bardziej tylko w słodkie, tak błękitne, jak właśnie samo niebo wspomnienie i po prostu w cześć nabożną.

Gdyby był człekiem wątłego ciała i głębszej myśli, byłby został mnichem i w cichem życiu klasztornem byłby przechował jak świętość owo niebieskie wspomnienie aż do chwili, w której duch z więzów cielesnych ulata w nieskończone przestworze, jak ptak z klatki. Ale jemu ledwie się zaczynał trzeci dziesiątek lat i sok z surowego wióra w pięści wyciskał i konia, ścisnąwszy udami, mógł tchu pozbawić. Był taki, jakimi byli wówczas powszechnie szlachta i włodykowie, którzy, jeśli nie marli w dzieciństwie, lub nie zostawali księżmi, to, nie znając granic ni miary w zapędach cielesnych i sile, albo puszczali się na zbój, rozpustę i pijactwo, albo też, żeniąc się młodo, stawali, gdy wici wyszły na

na wojnę, z dwudziestu czterema, albo i więcej synami, do dzików siłą podobnymi.

Ale on nie wiedział, że był taki, tem bardziej, że z początku chorzał. Powoli jednak źle ustawione żebra zrosły mu się, tworząc nieznaczną zaledwie z boku wyniosłość, która nie przeszkadzała mu w niczem i którą nietylko pancerz, ale i zwykła szata mogła całkowicie pokryć. Znużenie mijało. Bujne, płowe włosy, obcięte na znak żałoby po Danusi, odrosły mu znów do wpół pleców. Wracała mu dawna nadzwyczajna uroda. Gdy kilka lat temu w Krakowie szedł na śmierć z ręki kata, wyglądał, jak pachołę z wielkiego rodu, a teraz stał się jeszcze piękniejszy, istny królewicz, podobien z barków, z piersi, z lędźwi i ramion do olbrzyma, z twarzy zaś do dziewicy. Moc i życie kipiało w nim, jak war w garnku, a spotężnione czystością i długim wypoczynkiem, chodziło mu po kościach jak płomię. On, nie wiedząc, co to jest, myślał, że wciąż chorzeje, i wylegiwał się w łożu, rad, że Maćko i Jagienka strzegą go, pilnują i dogadzają mu we wszystkiem. Chwilami wydawało mu się, że mu jest tak dobrze, jak w niebie, chwilami, zwłaszcza gdy nie było przy nim Jagienki, że źle, smutno, nieznośnie. Brało go wówczas ziewanie, ciągoty, gorączka i zapowiadał Maćkowi, że wróciwszy do zdrowia, pójdzie znów

na koniec świata, na Niemców, na Tatarów, albo inną podobną dzicz, byle zbyć życia, które mu cięży okrutnie. A Maćko zamiast sprzeciwiać się, kiwał głową, przyświadczał, ale tymczasem posyłał po Jagienkę, za której przyjazdem topniały zaraz w Zbyszku myśli o nowych wyprawach wojennych, tak, jak topnieją śniegi, gdy je wiosenne słońce przygrzeje.

Ona zaś przyjeżdżała skwapliwie i na wezwanie i z własnej woli, gdyż pokochała Zbyszka ze wszystkich sił duszy i serca. Za czasów swego pobytu na dworze biskupim i książęcym w Płocku widywała rycerzy równie pięknych, równie sławnych z siły i męstwa, którzy nieraz klękali przed nią, ślubując jej wierność do zgonu, ale ten był jej wybrany, tego ukochała w zaraniu lat pierwszą miłością, a nieszczęścia, przez jakie przeszedł, wzmogły tylko jej kochanie do tego stopnia, że był jej milszym i stokroć droższym nietylko od wszystkich rycerzy, ale i od wszystkich książąt ziemi. Teraz, gdy przychodząc do zdrowia, stawał się z dnia na dzień cudniejszy, miłość jej zmieniła się niemal w zapamiętanie i przesłoniła jej cały świat.

Nie przyznawała się jednak do niej nawet sama przed sobą, a przed Zbyszkiem taiła ją jak najstaranniej z obawy, aby nią znowu nie wzgardził. Nawet z Maćkiem, o ile dawniej

skora była do zwierzeń, o tyle teraz stała się ostrożna i milcząca. Mogła ją tylko zdradzić troskliwość, jaką okazywała w pielęgnowaniu Zbyszka, ale i tej troskliwości starała się inne nadać pozory i w tym celu tak pewnego razu ozwała się przebiegle do Zbyszka:

— Bo, że cię tam trochę doglądam, to jeno z przychylności dla Maćka, a tyś zara co pomyślał? powiadaj!

I niby poprawiając włosy na czole, przysłoniła twarz dłonią i poczęła pilnie patrzeć na niego przez palce, on zaś, zaskoczony niespodzianem pytaniem, zaczerwienił się jak panna i dopiero po niejakim czasie odrzekł:

— Nic-em nie pomyślał. Tyś teraz inna.

Nastała znów chwila milczenia.

— Inna? — zapytała wreszcie dziewczyna jakimś cichym i miękkim głosem. — No! pewnie, że inna. Ale żebym cię już tak całkiem miała niecierpieć, to tego też Boże nie daj!

— Bóg ci zapłać i za to — odrzekł Zbyszko.

I odtąd bywało im z sobą dobrze, tylko jakoś niezręcznie i niesporo. Nieraz mogło się zdawać, że oboje o czem innem mówią, a o czem innem myślą. Zapadało między nimi częste milczenie. Zbyszko, wylegując się wciąż w łożu, wodził wedle słów Maćka za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, albowiem, chwilami zwła-

szcza, wydawała mu się tak cudna, że się jej napatrzyć nie mógł. Bywało także, że spojrzenia ich spotykały się nagle, a wówczas płoniły im się twarze, i wypukła pierś dziewczyny poruszała się spiesznym oddechem, i serce jej biło, jakby w oczekiwaniu, czy czegoś nie usłyszy, od czego stopnieje i rozpłynie się w niej dusza. Ale Zbyszko milczał, albowiem stracił do niej zupełnie dawną śmiałość i bał się ją spłoszyć niebacznem słowem i wbrew temu, co widziały jego oczy, sam w siebie wmawiał, że ona mu tylko siostrzaną przychylność gwoli Maćkowej przyjaźni okazuje.

I raz począł mówić o tem z Maćkiem. Starał się mówić niby spokojnie, a nawet obojętnie i ani się spostrzegł, jak słowa jego stawały się coraz podobniejsze do skargi przez pół gorzkiej, przez pół smutnej. Maćko zaś wysłuchał cierpliwie wszystkiego, a w końcu rzekł tylko jedno jedyne słowo:

— Głupiś!

I wyszedł z izby.

Ale na «oborze» począł zacierać ręce i klepać się z wielkiej radości po udach.

— Ha! — mówił sobie — wtedy, kiedy ci tanio mogła przyjść, toś i patrzeć na nią nie chciał, najedzże się teraz strachu, kiedyś głupi. Ja będę kasztel stawiał, a ty się przez ten czas

oblizuj. Nic ci nie rzekę i bielma z oczu nie zdejmę, choćbyś rżał głośniej od wszystkich koni w Bogdańcu. Gdzie wióry na zarzewiu leżą, tam i tak prędzej później płomię buchnie, ale ja ci nie będę na zarzewie dmuchał, bo tak myślę, że i nie trzeba.

I nietylko nie dmuchał, ale się nawet Zbyszkowi sprzeciwiał i drażnił go, jako stary przechera, który rad igra z niedoświadczonym młodzieńcem. Więc razu pewnego, gdy Zbyszko znów mu powtórzył, że chyba na jaką daleką wyprawę pójdzie, aby się nieznośnego żywota pozbyć, rzekł mu:

— Pókiś goło miał pod nosem, tom tobą rządził, ale teraz — twoja wola. Chcesz-li koniecznie swojemu jeno rozumowi dufać i iść, to idź.

A Zbyszko aż zerwał się ze zdziwienia i siadł na łożu.

— Jakto? To już się nawet i temu nie przeciwicie?

— Co mam się przeciwiać? Żal mi tylko okrutnie rodu, któryby razem z tobą zaginął, ale i na to może znajdzie się rada.

— Jaka rada? — pytał niespokojnie Zbyszko.

— Jaka? No! niema co gadać, że roki mi godne są, ale też i mocy w kościach nie brak. Jużci, Jagience patrzyłby się młodszy jakowyś

chłop, ale żem to jej nieboszczykowi ojcu przyjacielem, to kto wie...

— Byliście jej ojcu przyjacielem — odrzekł Zbyszko — ale dla mnie nigdyście nie mieli życzliwości, nigdy! nigdy!...

I przerwał, bo mu się poczęła broda trząść, a Maćko rzekł:

— Ba! skoro koniecznie chcesz ginąć, to cóż mam robić?

— Dobrze! róbcie, co chcecie, ja jeszcze dziś w świat pojadę!

— Głupiś! — powtórzył Maćko.

I znów wyszedł z izby doglądać chłopów i bogdanieckich i tych, których pożyczyła ze Zgorzelic i z Moczydołów Jagienka, aby pomagali w kopaniu rowu, mającego otaczać kasztel.

LXXV.

Zbyszko nie spełnił wprawdzie swej groźby i nie wyjechał, ale za to po upływie jeszcze tygodnia zdrowie wróciło mu zupełnie i nie mógł już dłużej wylegiwać się w łożu. Maćko powiedział, że wypada im teraz pojechać do Zgorzelic i podziękować Jagience za starunek, więc pewnego dnia, wyprażywszy się dobrze w łaźni, postanowił jechać, nie zwłócząc. W tym celu kazał wydobyć ze skrzyni piękne szaty, aby niemi zastąpić zwykłą odzież, którą miał na sobie, a następnie zajął się trefieniem włosów. Była to jednak czynność niełatwa i niemała, a to nietylko z powodu bujności Zbyszkowej czupryny, która z tyłu spadała mu, jak grzywa, aż za łopatki. Rycerze w życiu codziennem nosili włosy w pątlikach kształtu grzyba, co miało i tę dobrą stronę, że w czasie wypraw helm daleko mniej ich uwierał, natomiast na rozmaite uroczystości, wesela, lub jadąc w odwiedziny do domów, w których były panny, układali je

w pięknie poskręcane zwoje, które często smarowano białkiem dla połysku i mocy. Tak to właśnie chciał utrefić się Zbyszko. Ale dwie niewiasty, wezwane z czeladnej, nie przywykłe do takiej roboty, nie umiały sobie dać rady. Wyschłe i zburzone po łaźni włosy nie chciały się układać i jeżyły, jako źle poszyta strzecha na chałupie. Nie pomogły ani zdobyczne na Fryzach grzebienie, ozdobnie z bawolego rogu wyrobione, ani nawet zgrzebło, po które jedna z niewiast poszła do stajni. Zbyszko począł się w końcu niecierpliwić i gniewać, gdy wtem do izby wszedł Maćko w towarzystwie Jagienki, która przez ten czas niespodzianie nadjechała.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła dziewczyna.

— Na wieki wieków! — odpowiedział z rozpromienioną twarzą Zbyszko. — O, to dziwne! Bo myśmy właśnie chcieli do Zgorzelic jechać, a tyś tu!

I oczy rozbłysły mu radością, bo już tak było, iż ilekroć ją zobaczył, tylekroć czyniło mu się w duszy tak jasno, jakby na wschód słońca patrzał.

A Jagienka, ujrzawszy zakłopotane baby z grzebieniami w ręku, zgrzebło, leżące na ławie wpodle Zbyszka, i jego zwichrzoną czuprynę, poczęła się śmiać.

— Ej, wiecha też to, wiecha! — zawołała, ukazując z pod koralowych ust swe cudne białe zęby. — W konopiachby cię, albo w sadzie wiśniowym na strach ptactwu postawić!

On zaś zasępił się i rzekł:

— Chcieliśmy do Zgorzelic jechać, ale w Zgorzelicach nijakby ci było gościowi uchybiać, a tu możesz sobie ze mnie dworować, ile chcesz, co, wiera, zawsze rada czynisz.

— Ja rada to czynię? — zapytała dziewczyna. — Ej, mocny Boże! Toż przyjechałam prosić was na wieczerzę, a śmieję się nie z ciebie, jeno z tych bab, bo żeby tak na mnie, wnetbym tu sobie dała rady.

— Nie wskórałabyś i ty!

— A Jaśkowi to niby kto to robi?

— Jasiek ci brat — odparł Zbyszko.

— Jużci!...

Lecz tu stary i doświadczony Maćko postanowił im przyjść z pomocą.

— Po domach — rzekł — gdy po postrzyżynach rycerskiemu pacholęciu włosy odrosną, trefi mu je siostra, a w żrałym wieku żona mężowi; ale obyczaj też jest, że gdy rycerz siostry albo żony nie ma, to mu dziewki szlacheckie służą, nawet i całkiem obce.

— Zali istotnie jest taki obyczaj? — pytała, spuszczając oczy, Jagienka.

— Nietylko po dworach, lecz i po zamkach, ba! nawet na królewskim dworze — odrzekł Maćko.

Poczem zwrócił się do niewiast:

— Kiedyście do niczego, ruszajcie do czeladnej!

— To niech mi też grzanej wody przyniosą — dodała dziewczyna.

Maćko wyszedł razem z niewiastami, niby dla pilnowania, aby w posłudze nie było marudztwa — i po chwili wysłał grzaną wodę, którą gdy zostawiono w izbie, młodzi zostali sami. Jagienka, zamoczywszy naprzód nałęczkę, poczęła nią zwilżać silnie włosy Zbyszkowe, gdy zaś przestały się wichrzyć i opadły ciężarem wilgoci, wzięła grzebień i siadła na ławie obok młodzianka, aby zabrać się do dalszej roboty.

I tak siedzieli tuż koło siebie, oboje nad miarę śliczni i nad miarę w sobie rozkochani, ale stropieni i milczący. Jagienka poczęła wreszcie układać jego złote włosy, a on czuł bliskość jej wzniesionych ramion, jej dłoni i drżał od stóp do głowy, hamując się całą siłą woli, aby nie porwać jej w pół i nie przycisnąć ze wszystkich sił do piersi.

W ciszy słychać było przyspieszone ich oddechy.

— Możeś ty chory! — spytała po chwili dziewczyna. — Co ci jest?

— Nic! — odpowiedział młody rycerz.

— Bo jakoś tak dychasz.

— I ty dychasz...

Znów zapadła cisza. Policzki Jagienki zakwitły jak róże, czuła bowiem, że Zbyszko oczu nie odrywa ani na chwilę od jej twarzy, więc chcąc zagadać własne zakłopotanie, znów zapytała:

— Czego się tak patrzysz?

— Wadzi ci?

— Nie wadzi mi, jeno się pytam.

— Jagienka?

— Co...

Zbyszko nabrał w piersi powietrza, westchnął, poruszył ustami, jakby zabierając się do dłuższej rozmowy, ale widać nie starczyło mu jeszcze odwagi, bo tylko powtórzył znów:

— Jagienka?...

— Co?

. . . . . .

— Kiedy się boję coś rzec...

— Nie bój się. Prosta ja dziewczyna, nie żaden smok.

— Jużci nie smok! Ale że stryj Maćko powiada, że cię chce brać!...

— Bo chce, jeno nie dla siebie.

I zamilkła, jakby przestraszona własnemi słowy.

— Prze miły Bóg! Jaguś moja... A ty co na to, Jaguś? — zawołał Zbyszko.

Lecz jej niespodzianie oczy wezbrały łzami, śliczne usta poczęły drgać, a głos stał się tak cichy, że Zbyszko ledwo mógł dosłyszeć, gdy rzekła:

— Tatuś i opat chcieli... a ja, to... ty wiesz!...

Na te słowa radość buchnęła mu w sercu, jak nagły płomień, więc porwał dziewczynę na ręce, podniósł ją w górę, jak piórko i począł krzyczeć w zapamiętaniu:

— Jaguś! Jaguś! złoto ty moje! słonko ty moje, hej! hej!...

I krzyczał tak, że stary Maćko, myśląc, że stało się coś niezwykłego, wpadł do izby. Dopieroż ujrzawszy Jagienkę na ręku Zbyszka, zdumiał się, że wszystko poszło tak niespodziewanie prędko i zawołał:

— W imię Ojca i Syna! Miarkuj się, chłopie!

A Zbyszko przypadł do niego, postawił Jagienkę na ziemi i oboje chcieli przyklęknąć, lecz nim zdołali to uczynić, chwycił ich stary w kościste ramiona i przycisnął ze wszystkich sił do piersi.

— Pochwalony! — rzekł. — Wiedziałem ci ja, że tak się skończy, ale mi przecie radość! Boże wam błogosław! Lżej będzie umierać... Dziewucha, jako złoto najszczersze... Ku Bogu i ku ludziom! Prawdziwie! A niech ta już będzie, co chce, kiedym się takiej pociechy doczekał... Bóg doświadczył, ale i Bóg pocieszył. Trzeba jechać do Zgorzelic, Jaśkowi oznajmić. Hej, żeby stary Zych żył!... i opat... Ale ja wam za obu strzymam, bo żeby tak prawdę rzec, to was tak oboje miłuję, że i wstyd gadać.

I chociaż miał w piersi serce hartowne, wzruszył się tak, że aż ścisnęło go coś w gardle, więc ucałował jeszcze Zbyszka, a potem w oba policzki Jagienkę i, wykrztusiwszy nawpół przez łzy: «Miód, nie dziewczyna!» poszedł do stajen, aby kazać konie kulbaczyć.

Wyszedłszy, zatoczył się z radości na dziewanny, które rosły przed domem, i począł spoglądać na ich ciemne kręgi, otoczone żółtymi liśćmi, jak człowiek pijany.

— A no! Kupa was — rzekł — ale da Bóg, Gradów Bogdanieckich będzie więcej.

Poczem idąc ku stajni, jął znów mruczeć i wyliczać:

— Bogdaniec, opatowe majątki, Spychów, Moczydoły... Bóg zawsze wie, do czego prowadzi,

a przyjdzie czas na starego Wilka, toby i Brzozową warto kupić... Łąki godne!...

Tymczasem Jagienka i Zbyszko wyszli także przed dom, radośni, szczęśliwi, jaśniejący, jak słońce.

— Stryjku! — ozwał się zdala Zbyszko.

A on zwrócił się ku nim, otworzył ręce i począł wołać, jak w lesie:

— Hop! hop! By-waj-cie!

LXXVI.

Oni mieszkali w Moczydołach, a stary Maćko wznosił dla nich kasztel w Bogdańcu. Wznosił mozolnie, gdyż chciał, żeby odsady były z kamienia na wapno, a czatownia z cegły, o którą trudno było w okolicy. W pierwszym roku wykopał rowy, co przyszło dość łatwo, albowiem wzgórze, na którem miał stanąć kasztel, było niegdyś okopane, może za czasów jeszcze pogańskich, należało więc tylko oczyścić owe wądoły z drzew i z głogowych gąszczów, którymi zarosły, a następnie umocnić je i pogłębić należycie. Przy pogłębianiu dokopano się też obfitego źródła, które w niedługim czasie napełniło fosę tak, że musiał Maćko obmyślać ujście dla zbytku wody. Potem na wale wzniósł częstokół i począł zgromadzać budulec na ściany zameczku, bale dębowe tak grube, że trzech chłopów jednego objąć nie mogło, i modrzewiowe, nie gnijące ni pod glinianą polepą, ni pod przykryciem z darniny. Do wznoszenia tych ścian

zabrał się pomimo stałej pomocy chłopów ze Zgorzelic i Moczydołów dopiero po roku, ale zabrał się tem gorliwiej dlatego, że przedtem jeszcze Jagienka powiła bliźnięta. Niebo otworzyło się wówczas przed starym rycerzem, miał już bowiem dla kogo pracować, zabiegać i wiedział, że ród Gradów nie zaginie, a Tępa Podkowa nieraz jeszcze ubroczy się we krwi nieprzyjacielskiej.

Bliźniakom dano imiona: Maćko i Jaśko. «Chłopy, mówił stary, na schwał, tak, że w całem królestwie niemasz podobnych, a przecie jeszcze nie wieczór». I ukochał ich od razu wielką miłością, a za Jagienką świata nie widział. Kto mu ją w oczy sławił, ten wszystko mógł u niego uzyskać. Zazdroszczono jej jednak Zbyszkowi szczerze i sławiono ją nietylko dla korzyści, gdyż istotnie jaśniała ona w okolicy, niby kwiat najpiękniejszy ze wszystkich na łące. Przyniosła mężowi wielkie wiano, ale i więcej, niż wiano, bo wielkie kochanie i urodę, olśniewającą oczy ludzkie, i dworność i dzielność taką, że niejeden rycerz mógłby się nią pochlubić. Nic to dla niej było w kilka dni po połogu do gospodarstwa wstać, a potem z mężem na łowy jechać, albo konno z Moczydołów do Bogdańca rano skoczyć i przed południem do Jaśka i Maćka wrócić. Kochał ją tedy jak źrenicę oka mąż,

kochał stary Maćko, kochała czeladź, dla której ludzkie miała serce, a w Krześni, gdy w niedzielę wchodziła do kościoła, witał ją szmer podziwu i uwielbienia. Dawniejszy jej zalotnik, groźny Cztan z Rogowa, żeniaty z córką kmiecą, który po mszy pijał w karczmie ze starym Wilkiem z Brzozowej, mawiał, podpiwszy do niego: «Szczerbiliśmy się o nią nieraz z waszym synem i chcieliśmy ją brać, ale to tak właśnie było, jakby po miesiąc na niebie sięgać».

Inni zaś głośno wyznawali, że takiej chybaby na dworze królewskim w Krakowie szukać. Bo obok bogactwa, urody i dworności, czczono także niezmiernie jej czerstwość i siłę. I był o tem jeden głos: «że to dopiero niewiasta, co niedźwiedzia oszczepem w boru podeprze, a orzechów nie potrzebuje gryźć, jeno je na ławie ułoży i z nagła przysiędzie, to ci się wszystkie tak pokruszą, jakobyś je młyńskim kamieniem przycisnął». Tak to ją sławiono i w parafialnej Krześni i po sąsiedzkich wsiach, a nawet w wojewódzkim Sieradzu. Jednakże, zazdrosząc Zbyszkowi z Bogdańca, nie dziwiono się zbytecznie, że ją dostał, albowiem opromieniła i jego taka chwała wojenna, jakiej nikt w okolicy nie miał.

Młodzi włodykowie i szlachta prawili sobie wzajem całe opowieści o Niemcach, których

«naluszczył» w bitwach pod wodzą Witolda i w pojedynkę, na udeptanej ziemi. Mówiono, że żaden mu się nigdy nie odjął, że w Malborgu dwunastu ich zbił z koni, między nimi brata mistrzowego Ulryka, wreszcie, że nawet z krakowskimi rycerzami mógł się potykać i że sam niezwyciężony Zawisza Czarny był mu życzliwym przyjacielem.

Niektórzy nie chcieli tak nadzwyczajnym klechdaniom wierzyć, ale i ci jednak, gdy była mowa o tem, kogoby okolica wybrała, gdyby polskim rycerzom przyszło z obcymi iść w zawód, mówili: «Już-ci Zbyszka» — a potem dopiero włochatego Cztana z Rogowa i innych miejscowych osiłków, którym pod względem ćwiczenia rycerskiego daleko było do młodego dziedzica z Bogdańca.

Wielka zamożność jednała mu na równi ze sławą szacunek ludzki. Bo, że za Jagienką wziął Moczydoły i wielką majętność opatową, to nie była jego zasługa, ale on już przedtem miał Spychów wraz z ogromnymi skarbami zgromadzonymi przez Juranda, a prócz tego szeptali sobie ludzie, że samych łupów zdobytych i wziętych przez rycerzy z Bogdańca w zbrojach, koniach, szatach, klejnotach wstrzymałoby na trzy albo i cztery dobre wsie.

Widziano więc w tem jakąś szczególną łaskę bożą nad rodem Gradów herbu Tępa Podkowa, który do niedawna podupadły tak, że prócz pustego Bogdańca nic nie miał, wyrastał teraz nad wszystkie inne w okolicy. «Przecie w Bogdańcu ostało po pogorzeli jeno garbate domosko — mówili starzy ludzie — i samą majętność z braku rąk roboczych musieli krewnemu zastawić, a teraz kasztel wznoszą». I podziw był wielki, ale że towarzyszyło mu ogólne, instynktowne poczucie, że cały naród idzie także niepowstrzymanym pędem do jakiegoś niezmiernego dorobku i że z woli bożej taki ma być właśnie porządek rzeczy, więc nie było w tym podziwie złej zawiści. Owszem, chełpiła się okolica i była dumna z tych rycerzy z Bogdańca. Byli oni jakby oczywistym dowodem, do czego może doprowadzić szlachcica krzepkie ramię w połączeniu z mężnem sercem i rycerską pożądliwością przygód. Niejeden też na ich widok uczuwał, że mu za ciasno w domowych pieleszach, w rodzimych granicach i że o ścianę są we wrażej mocy wielkie bogactwa i obszerne ziemie, które można zdobyć z niezmierną dla siebie i dla królestwa korzyścią. A ów nadmiar sił, który odczuwały rody, rozpierał całą społeczność tak, iż była jakby war, który musi z naczynia wykipieć. Mogli mądrzy panowie

krakowscy i miłujący pokój król hamować te siły do czasu i odkładać wojnę z odwiecznym wrogiem na długie lata, ale żadna moc ludzka nie mogła przytłumić ich całkowicie, ani też powstrzymać tego pędu, którym idzie ku wielkości dusza powszechna.

LXXVII.

Dożył Maćko szczęśliwych dni żywota. Nieraz mawiał też sąsiadom, że więcej dostał, niźli sam się spodziewał. Nawet starość ubieliła mu tylko włos na głowie i brodzie, ale nie odjęła mu dotychczas ni sił, ni zdrowia. Serce miał pełne tak wielkiej wesołości, jakiej dotychczas nigdy nie zaznał. Surowa niegdyś jego twarz stawała się coraz więcej dobroduszną, a oczy śmiały się do ludzi dobrym uśmiechem. W duszy miał przekonanie, że wszystko zło skończyło się na zawsze i że żadna troska, żadna niedola nie zmąci już płynących tak spokojnie, jak jasny strumień, dni życia. Do starości wojować, na starość gospodarzyć i majętność dla «wnęków» powiększać — to było przecie jego największe pragnienie we wszystkich czasach, a oto właśnie wszystko spełniło mu się doskonale. Gospodarka szła, jak z płatka. Bory były znacznie wycięte; wykarczowane i obsiane nowocie zieleniły się co wiosna runią zbóż rozmaitych;

mnożył się dobytek; na łąkach było czterdzieści świerzop ze źrebięty, które stary szlachcic codziennie oglądał; stada baranów i bydła pasły się po ugorach i zagajach; Bogdaniec zmienił się całkowicie: z opustoszałej osady czynił się wsią ludną i zamożną, a kto się do niego zbliżał, tego oczy olśniewała widna zdala czatownia i niepoczerniałe jeszcze ściany kasztelu, błyszczące złotem w słońcu, a purpurą zorzy wieczorem.

Więc radował się stary Maćko w sercu dobytkiem, gospodarstwem, pomyślną dolą — i nie przeczył, gdy ludzie mówili, że ma szczęsną rękę. W rok po bliźniętach przyszedł znowu na świat chłopak, którego Jagienka na cześć i dla pamięci swego rodzica nazwała Zychem. Maćko przyjął go z radością i nie troszczył się tem bynajmniej, że gdyby tak miało pójść dalej, majętność z takim trudem i zabiegliwością zebrana, musiałaby się rozdrobnić: — «Bo co my mieli? — mówił o tem pewnego razu do Zbyszka. — Nic! a przecie Bóg przysporzył. Stary Pakosz z Sulisławic (mówił) ma jedną wieś, synów zaś dwudziestu dwóch, a przecie głodem nie przymierają. Małoż to jest ziem w Królestwie i na Litwie? małoż to wsi i zamków w psubrackich rękach Krzyżaków? Hej! nużby tak Pan Jezus zdarzył! byłoby godne pomie-

szczenie, bo tam zamki całe z cegły czerwonej, z którychby kasztelanie nasz miłościwy król poczynił». I była to rzecz godna uwagi, że Zakon stał przecie na szczycie potęgi, że bogactwy, siłą, mnogością ćwiczonych wojsk wszystkie zachodnie królestwa przewyższał, a jednak ten stary rycerz myślał o zamkach krzyżackich, jako o przyszłych siedzibach dla swoich wnuków. I wielu zapewne tak samo myślało w królestwie Jagiełłowem, nietylko dlatego, że to były stare, polskie ziemie, na których Zakon siedział, ale i w poczuciu tej siły potężnej, która, burząc się w piersiach narodu, szukała na wszystkie strony ujścia.

W czwartym dopiero roku, licząc od małżeństwa Zbyszka, stanął kasztel, a i to z pomocą rąk roboczych nietylko miejscowych, zgorzelickich, moczydolskich, lecz i sąsiedzkich, a szczególnie starego Wilka z Brzozowej, który, zostawszy sam po śmierci syna na świecie, zaprzyjaźnił się bardzo z Maćkiem, a potem zwrócił serce ku Zbyszkowi i Jagience. Maćko przyozdobił komnaty łupami z wojen, które albo sami ze Zbyszkiem wzięli, albo po Jurandzie ze Spychowa odziedziczyli, przydał do tego dostatki po opacie i to, co Jagienka z domu wywiozła, okna szklane sprowadził z Sieradza — i wspaniałą urządził siedzibę. Zbyszko z żoną

i dziećmi przeniósł się jednak do kasztelu w piątym dopiero roku, gdy już i inne budowy, jak oto: stajnie, obory, kuchnie i łaźnie były ukończone, a z niemi razem i sklepy podziemne, które stawił stary na kamień i wapno, aby zaś trwałość miało niepożytą. Sam się jednak do zamku nie przeniósł: wolał zostać w starem domostwie, a na wszelkie prośby Zbyszka i Jagienki odpowiadał odmownie, w taki sposób myśl swoją wyłuszczając:

— Tu już zamrę, gdziem się urodził. Widzicie, za czasów wojny Grzymalitów z Nałęczami spalon był do cna Bogdaniec, wszystkie budynki, wszystkie chałupy — ba! płoty nawet, jeno to domosko ostało. Ludzie gadali, że dla zbytku mchów na dachu nie chciało gorzeć, ale ja myślę, że była w tem i łaska boża i wola, abyśmy tu wrócili i stąd znowu wyrośli. Za czasów naszej wojaczki biadałem ja nieraz, że nie mamy do czego wracać, alem nie całkiem słusznie tak mówił, bo wiera nie było na czem gospodarzyć i co do gęby włożyć, ale było się gdzie schronić. Wy, młodzi, to co innego, ale ja tak już myślę, że skoro nas ów stary dom nie poniechał, to i mnie nie godzi się go poniechać.

I został. Lubił jednakże przychodzić do zameczku, aby oglądać jego wielkość i wspania-

łość, w porównaniu z dawną siedzibą, a zarazem patrzeć na Zbyszka, na Jagienkę i na «wnęków». Wszystko, co tam widział, było w znacznej części jego dziełem, a jednak przejmowało go ono dumą i podziwem. Przyjeżdżał czasem do niego stary Wilk, aby z nim «ugwarzyć» przy ognisku, albo też on sam odwiedzał go w tymże zamiarze w Brzozowej, więc raz tak mu swoje myśli o tych «nowych porządkach» wypowiedział:

— Wiecie! Aże mi czasem cudnie. Bo przecie wiadomo, że Zbyszko i w Krakowie na zamku u króla bywał, (ba! mało mu tam głowy nie ucięli!) i na Mazowszu i w Malborgu i u księcia Janusza, a Jagienka też się w dostatku chowała, ale przecie własnego kasztelu nie mieli... Ale teraz to tak, jakby nigdy inaczej nie żywili... Chodzą, mówię wam, po komnatach, chodzą, chodzą i służbie rozkazania dają, a jak się zmęczą, to sobie siedną. Prawy kasztelan i kasztelanowa! Mają ci też komnatę, w której z sołtysami, z karbowymi i czeladzią obiadują, a w niej ławy dla niego i dla niej wyższe, inni zaś poniżej siedzą i czekają, póki państwo godnie mis nie nałożą. Taki to dworski obyczaj, aże człek musi sobie przypominać, że to nie żadne wielkie państwo, jeno bratanek i bratankowa, którzy po ręku mnie starego boćkają, na

pierwszem miejscu sadzą i dobrodziejem swoim zowią.

— Dlatego im też Pan Jezus błogosławi — zauważył stary Wilk.

Zaczem, pokiwawszy smutnie głową, popił miodu, poruszył żelaznym pogrzebaczem głownie w ognisku i rzekł:

— A mojemu chłopu się sczezło!

— Wola Boska.

— A no! Starsi, których było pięciu, przedtem dawno polegli. Przecie wiecie. Już-ci wola Boska. Ale ten był ze wszystkich najtęższy. Prawy Wilk i gdyby nie był legł, toby dziś też może na własnym zamku siedział.

— Wolejby był Cztan poległ.

— Co ta Cztan! Niby to kamienie młyńskie na plecy bierze, a ile to razy mój go poszczerbił! Mój miał ćwiczenie rycerskie, a Cztana teraz żona po pysku pierze, bo choć jest chłop mocowy, ale głupi.

— Hej! jako podogonie! — przyświadczył Maćko.

I przy sposobności wynosił pod niebo nietylko ćwiczenie rycerskie, ale i rozum Zbyszka, że to w Malborgu z najprzedniejszymi rycerzami gonił na ostre, «a z książęty to ci wam tak będzie gadał, jakoby orzechy gryzł». Chwalił też jego porządek w głowie i zabiegliwość w go-

spodarce, bez której prędkoby kasztel majętność zjadł. Nie chcąc jednak, by stary Wilk myślał, że coś podobnego może im grozić, kończył przyciszonym głosem:

— No, z łaski Boga jest ta wszelkiego dobra dosyć, więcej, niż ludzie wiedzą, ale nie mówcie o tem nikomu.

Ludzie jednak domyślali się, wiedzieli i opowiadali sobie aż do przesady, zwłaszcza o bogactwach, które Bogdanieccy mieli wywieźć ze Spychowa. Mówiono, że pieniądze solówkami wozili z Mazowsza. Wygodził też Maćko pożyczką kilkunastu grzywien możnym dziedzicom na Koniecpolu, co do ostatka utwierdziło okolicę w mniemaniu o jego «skarbach». Z tego powodu rosło znaczenie Bogdanieckich, rósł szacunek ludzki i gości nigdy nie brakło w kasztelu, na co Maćko, choć oszczędny, nie patrzał niechętnem okiem, gdyż wiedział, że i to sławy rodowi przymnaża.

Szczególnie chrzciny bywały sute, a raz na rok, po Matce Boskiej Zielnej, wyprawiał Zbyszko wielką ucztę dla sąsiedztwa, na którą i szlachcianki przyjeżdżały patrzyć na ćwiczenia rycerskie, słuchać gądków i pląsać z młodymi rycerzami przy smolnych pochodniach aż do rana. Wtedy to pasł oczy i radował się stary Maćko widokiem Zbyszka i Jagienki, tak wy-

glądali dwornie i pańsko. Zbyszko zmężniał, rozrósł się, a choć przy potężnej i wyniosłej postawie twarz jego wydawała się zawsze młoda, jednakże, gdy bujny włos opiął przepaską z purpury, przybrał się w świetną, naszytą srebrnemi i złotemi nićmi szatę, to nietylko Maćko, ale i niejeden szlachcic mówił sobie w duszy: «Boga mi! iście książę jakoweś, na zamku siedzące». A przed Jagienką przyklękali nieraz rycerze, znający zachodni obyczaj, prosząc, by chciała im być damą ich myśli, taki bił od niej blask zdrowia, młodości, siły i urody. Sam stary dziedzic na Koniecpolu, który był wojewodą sieradzkim, zdumiewał się jej widokiem i z zorzą poranną, a nawet i z «słonkiem» ją porównywał, «które światu jasność daje, a nawet i stare kości żywszą gorącością napełnia».

LXXVIII.

Jednakże w piątym roku, gdy ład był wprowadzon we wszystkich wsiach nadzwyczajny, gdy nad skończoną czatownią powiewała już od kilku miesięcy chorągiew z Tępą Podkową, a Jagienka powiła szczęśliwie czwartego syna, którego nazwano Jurandem, tak rzekł raz stary Maćko do Zbyszka:

— Wszystko się darzy i gdyby Pan Jezus jeszcze jedno zdarzył szczęśliwie, tobym już umarł spokojny.

A Zbyszko popatrzał nań pytającym wzrokiem i po chwili zapytał:

— Chyba o wojnie z Krzyżaki mówicie, bo czegóżby wam więcej trzeba?

— To ci rzekę, com drzewiej mówił, — odpowiedział Maćko — że póki mistrz Konrad żywie, wojny nie będzie.

— Albo to mu wiecznie żyć?

— Ale i mnie nie wiecznie i dlatego o czem innem myślę.

— A zaś o czem?

— Ii! lepiej nie zapowiadać. Tymczasem się do Spychowa wybieram, a może zdarzy się i do książąt na Płocku i na Czersku.

Zbyszka nie zdziwiła zbytnio ta odpowiedź, albowiem w ciągu ostatnich lat kilkakrotnie stary Maćko wyjeżdżał do Spychowa, więc tylko zapytał:

— Długo zabawicie?

— Dłużej niż zwykle, bo się w Płocku zatrzymam.

Jakoż w tydzień później wyjechał Maćko, wziąwszy z sobą kilka wozów i zbroję dobrą, «na wypadek, jeśli się przyjdzie w szrankach potykać». Na odjezdnem zapowiedział, że może zabawi dłużej, niż zwykle, i istotnie zabawił dłużej, gdyż przez pół roku nie było o nim żadnej wieści. Zbyszko począł się niepokoić i w końcu wyprawił umyślnego do Spychowa, ale ów spotkał Maćka za Sieradzem i wrócił z nim razem.

Stary rycerz wrócił jakiś chmurny, ale wypytawszy dokładnie Zbyszka o wszystko, co się podczas jego niebytności działo, i zaspokojon, że wszystko szło dobrze, rozpogodził się nieco i pierwszy zaczął mówić o swej wyprawie.

— Wiesz, że byłem w Malborgu — rzekł.

— W Malborgu?

— A gdzieby indziej?

Zbyszko popatrzał na niego przez chwilę zdumionemi oczyma, poczem uderzył się nagle dłonią po udzie i rzekł:

— O prze Bóg! A ja na śmierć zapomniałem.

— Wolno było tobie zapomnieć, boś ślubów dopełnił, — odrzekł Maćko — ale nie daj Bóg, abym ja przysiędze i czci własnej umknął. Nie nasz to obyczaj, aby czegoś zaniechać, i tak mi dopomóż Święty Krzyż, jako póki mi tchu w nozdrzach, póty ja go nie zaniecham.

Tu zmierzchła twarz Maćka i stała się tak groźną i zawziętą, jako ją Zbyszko widywał tylko za dawnych lat, u Witolda i Skirwojłły, gdy miało przyjść do bitwy z Krzyżaki.

— No i co? — zapytał. — Odjął się wam?

— Nie odejmował się, bo mi nie stanął.

— Czemu zaś?

— Komturem wielkim został.

— Kuno Lichtenstein komturem ci wielkim został?

— Ba! Może go i wielkim mistrzem obiorą. Kto go wie! Ale on już i teraz z książęty się równym być mniema. Mówią, że wszystkiem rządzi i że wszystkie sprawy Zakonu na jego głowie, a mistrz nic bez niego nie poczyna. Gdzie

ci tam taki stanie na udeptaną ziemię! Na śmiech ludzki jeno zarobisz.

— Wyśmiali was? — zapytał Zbyszko, któremu oczy zaiskrzyły się nagle gniewem.

— Smiała się księżna Aleksandra w Płocku: «Jedźże, powiada, i cesarza rzymskiego pozwij! Jemu, powiada, (niby Lichtensteinowi), jako wiemy, przysłali także pozwy i Zawisza Czarny, i Powała, i Paszko z Biskupic, a też nawet takim mężom nie odkazał nic, bo nie może. Przecie nie serca mu brak, jeno że jest zakonnik i że (prawi) urząd ma tak znaczny i godny, że mu te rzeczy nie w głowie i że więcejby czci uchybił przyjmując, niźli na pozwy nie zważając». Tak ci to pani mówiła.

— A wy co na to?

— Zafrasowałem się okrutnie, ale rzekłem, że i tak do Malborga muszę jechać, żeby powiedzieć Bogu i ludziom: «Co było w mojej mocy, tom uczynił». Prosiłem tedy Pani, żeby mi obmyśliła jakoweś poselstwo i dała pisanie do Malborga, bom wiedział, że inaczej głowy z tego wilczego gniazda nie wywiozę. W duszy zaś myślałem tak: jużci nie chciał wyznaczyć zroku ni Zawiszy, ni Powale, ni Paszkowi, ale jeśli go wobec samego mistrza, wszystkich komturów i gości za gębę porwę, a wąsy i brodę mu wyszarpnę, to przecie stanie.

— Bodaj-że was! — zawołał z zapałem Zbyszko.

— Co — rzekł stary rycerz. — Na wszystko jest rada, byle głowę na karku mieć. Ale tu Pan Jezus łaski umknął, bom go w Malborgu nie zastał. Powiedzieli, że do Witolda w posły pojechał. Nie wiedziałem wtedy, co czynić, czekać, czy za nim jechać. Bałem się rozminąć. Ale żem to z mistrzem i wielkim szatnym miał z dawnych czasów znajomość, spuściłem im się z tajemnicy, dlaczegom przyjechał, oni zaś zakrzyknęli, że to nie może być.

— Czemu?

— Skróś tej samej przyczyny, którą księżna na Płocku wyłuszczyła. I mistrz przytem rzekł: «Cobyś o mnie myślał, gdybym ja każdemu rycerzowi z Mazowsza, albo z Polski stawał?» No — praw był, bo dawnoby go już na świecie nie było. Cudowali się tedy obaj z szatnym i opowiedzieli to przy stole na wieczerzy. To ci mówię, jakobyś w ul dmuchnął! A szczególnie między gośćmi podniosła się ich zaraz kupa: «Kuno — krzyczeli — nie może, ale my możem!» Wybrałem sobie tedy trzech, chcąc się z nimi po kolei potykać, ale mistrz po wielkich prośbach pozwolił jeno z jednym, któremu na przezwisko było też Lichtenstein i który był Kuna krewny.

— No i co? — zakrzyknął Zbyszko.

— A no, jużci przywiozłem jego blachy, ale tak całkiem popękane, że i jednej grzywny nikt za nie nie da.

— Bójcie się Boga, toście przysięgę spełnili!

— Zrazu byłem rad, bom i sam tak mniemał, ale potem pomyślałem: «Nie! to nie to samo!» I teraz spokoju nijakiego nie mam, bo nuż to nie to samo!

Lecz Zbyszko począł go pocieszać.

— Mnie też znacie, że w takich rzeczach ni sobie, ni komu nie folguję, ale gdyby mi się tak przygodziło, to miałbym dosyć. I to wam mówię, że najwięksi rycerze w Krakowie mi w tem przyświadczą. Sam Zawisza, który na czci rycerskiej najlepiej się zna, pewnie nie co innego powie.

— Tak mówisz? — zapytał Maćko.

— Pomyślcie jeno: oni sławni w całym świecie i pozwali go też, a żaden nie sprawił nawet i tyle, ile wyście sprawili. Ślubowaliście śmierć Lichtensteinowi — i przecie Lichtensteinaście zarznęli.

— Może — rzekł stary rycerz.

A Zbyszko, który był ciekaw spraw rycerskich, zapytał:

— Nuże! mówcie: młody był, czy stary? i jakże było? z konia czy piechtą?

— Było mu ze trzydzieści pięć roków i brodę miał do pasa, a było z konia. Bóg mi pomógł, że go kopią zmacałem, ale potem przyszło do mieczów. To tak, mówię ci, krew mu z gęby buchała, że cała broda była jakoby jeden sopel.

— A narzekaliście nieraz, że się starzejecie?

— Bo jak na koń siędę, albo-li się na ziemi rozkraczę, to się trzymam krzepko, ale już na siodło we zbroi całej nie skoczę.

— Ale i Kuno nie byłby się wam odjął.

Stary machnął pogardliwie ręką na znak, że z Kunonem byłoby mu poszło znacznie łatwiej, poczem poszli oglądać zdobyczne «blachy», które Maćko zabrał tylko na znak zwycięstwa, bo zresztą były zbyt potrzaskane i dlatego bez wartości. Tylko nabiodrza i nagolenniki były nietknięte i roboty bardzo przedniej.

— Wolałbym wszelako, żeby to były Kunona — mówił posępnie Maćko.

Na co Zbyszko:

— Wie Pan Bóg, co lepiej. Kunona, jeśli mistrzem zostanie, to już nie dostaniecie, chybaby w jakowej wielkiej bitwie.

— Nadstawiałem ci ja ucha, co ludzie mówią — odrzekł Maćko. — Jedni tedy gadają, że po Kondracie będzie Kuno, a drudzy, że brat Kondratowy Ulryk.

— Wolałbym, żeby był Ulryk — rzekł Zbyszko.

— I ja, a wiesz dlaczego? Kuno rozum ma większy i chytrzejszy, a Ulryk zapalczywszy. Prawy to jest rycerz, któren czci dochowuje, ale do wojny z nami aż drży. Powiadają też, że byle mistrzem ostał, to przyjdzie wnet taka nawałnica, jakiej na świecie nie bywało. A na Kondrata omdlałości pono już często przychodzą. Raz go zamroczyło i przy mnie. Hej! może doczekamy!

— Daj to Bóg! A są jakie nowe niezgody z Królestwem?

— Są stare i nowe. Krzyżak zawsze Krzyżakiem. Chociaż wie, żeś mocniejszy i że z tobą źle zadrzeć, będzie ci na twoje dybał, bo inaczej nie może.

— Przecie oni myślą, że Zakon od wszystkich królestw mocniejszy.

— Nie wszyscy, ale wielu, a między nimi i Ulryk. Bo w rzeczy, potęga to jest okrutna.

— A pamiętacie, co mówił Zyndram z Maszkowic?

— Pamiętam, i tam z każdym rokiem gorzej. Brat brata tak nie przyjmie, jako mnie tam przyjmowali, gdy żaden Krzyżak nie poglądał. Mają ich tam wszyscy dosyć.

— To i niedługo czekać!

— Niedługo, albo i długo — rzekł Maćko.

I po chwili zastanowienia dodał:

— A tymczasem trza harować i majętności przysparzać, aby godnie w pole wystąpić.

LXXIX.

Mistrz Konrad zmarł jednak dopiero w rok później. Jaśko ze Zgorzelic, brat Jagienki, który pierwszy usłyszał w Sieradzu nowinę i o jego śmierci i o obiorze Ulryka von Jungingen, pierwszy też przywiózł ją do Bogdańca, w którym, zarówno jak i we wszystkich szlacheckich siedzibach, wstrząsnęła ona do głębi dusze i serca. «Nastają czasy, jakich dotychczas nie bywało» — rzekł uroczyście stary Maćko, a Jagienka przyprowadziła w pierwszej chwili wszystkie dzieci przed Zbyszka i sama poczęła się z nim żegnać, jakby już nazajutrz miał wyruszyć. Maćko i Zbyszko wiedzieli wprawdzie, że wojna nie rozpala się tak od razu, jak ogień w kominie, niemniej jednak wierzyli, że do niej przyjdzie — i poczęli się gotować. Wybierali konie, zbroje, ćwiczyli w wojennem rzemiośle giermków, czeladź, sołtysów ze wsi, siedzących na niemieckiem prawie, którzy obowiązani byli konno stawać na wyprawę, i uboższą szlachtę — włady-

ków, ci bowiem radzi garnęli się do możniejszych. A to samo czyniono i po wszystkich innych dworach, wszędy biły młoty w kuźniach, wszędy czyszczono stare pancerze, nacierano stopionem w sałhanach sadłem łuki i rzemienie, kowano wozy, czyniono zapasy spyży w krupach i wędzonem mięsiwie. Przy kościołach w niedziele i święta wypytywano o nowiny i smucono się, gdy przychodziły pokojowe, albowiem każdy nosił w duszy głębokie poczucie, że raz trzeba skończyć z tym strasznym wrogiem całego plemienia i że nie zakwitnie w potędze, w spokoju i pracy królestwo, póki wedle słów św. Brygity nie będą wyłamane Krzyżakom zęby i nie będzie odcięta im prawa ręka.

W Krześni zaś szczególnie otaczano Maćka i Zbyszka, jako ludzi, znających Zakon i świadomych wojny z Niemcami. Wypytywano się ich nietylko o nowiny, ale i sposoby na Niemców: jak najlepiej w nich bić, jak mają zwyczaj się potykać, w czem od Polaków wyżsi, a w czem niżsi i czy po skruszeniu kopii łatwiej na nich zbroje łamać toporem, czyli też mieczem.

Oni zaś byli istotnie tych rzeczy świadomi, więc słuchano ich z wielką uwagą, tem bardziej, że było przekonanie powszechne, że wojna to nie będzie łatwa, że przyjdzie się mierzyć z naj-

przedniejszem rycerstwem wszelkich krajów i nie poprzestawać na tem, że tu i ówdzie pokolacze się nieprzyjaciela, jeno uczynić to rzetelnie, do «cna», albo też zginąć z kretesem. Mówili tedy między sobą władykowie: «Skoro trzeba, to trzeba; ich śmierć albo nasza». I pokoleniu, które w duszach nosiło poczucie przyszłej wielkości, nie odbierało to ochoty, owszem! rosła ona z każdą godziną i dniem, ale przystępowano do dzieła bez próżnej chwalby i chelpliwości, a raczej z pewnem zawziętem skupieniem i z gotową na śmierć powagą.

— Nam, albo im śmierć pisana.

Ale tymczasem czas upływał i dłużył się, a wojny nie było. Mówiono wprawdzie o niezgodach między królem Władysławem a Zakonem i jeszcze o ziemi Dobrzyńskiej, choć była już przed laty wykupiona, i o sporach nadgranicznych, o jakowemś Drezdenku, o którem wielu po raz pierwszy w życiu słyszało, a o które spierały się jakoby obie strony, ale wojny nie było. Niektórzy poczęli nawet już wątpić, czy będzie, bo przecie spory bywały zawsze, ale kończyło się zwykle na zjazdach, układach i wysyłaniu poselstw. Owóż rozeszła się wieść, że i teraz przyjechali jacyś posłowie krzyżaccy do Krakowa, a polscy udali się do Malborga. Poczęto mówić o pośrednictwie królów czeskiego

i węgierskiego, a nawet samego papieża. Zdala od Krakowa nie wiedziano niczego dokładnie, więc rozmaite, a często dziwaczne i niepodobne chodziły między ludźmi słuchy, ale wojny nie było.

W końcu i sam Maćko, za którego pamięci niemało przeszło gróźb wojennych i układów, nie wiedział, co o wszystkiem myśleć i wybrał się do Krakowa, aby jakiejś pewniejszej wieści zasięgnąć. Zabawił tam niedługo, bo szóstego tygodnia był już z powrotem, i wrócił z twarzą wielce wyjaśnioną. Gdy zaś w Krześni otoczyła go, jak zwykle, ciekawa nowin szlachta, na liczne pytania odpowiedział im pytaniem:

— A groty u kopii i topory macie wyostrzone?

— Albo co? Nuże! Na rany Boskie! jakie nowiny? Kogoście widzieli? — wołano ze wszystkich stron.

— Kogo widziałem? Zyndrama z Maszkowic! A jakie nowiny? Takie, że pono wraz konie siodłać przyjdzie.

— Prze Bóg!! Jakże to? powiadajcie!

— A słyszeliście o Drezdenku?

— Jużci, żeśmy słyszeli. Ale zameczek to, jakich wiele i ziemi bogdaj tam nie więcej, niźli a was w Bogdańcu.

— Marna to wojny przyczyna, co?

— Pewnie, że marna; bywały i większe, a przecie nic potem nie nastąpiło.

— A wiecie, jaką mi przypowieść Zyndram z Maszkowic z przyczyny Drezdenka powiedział?

— Prędzej mówcie, bo nam czapki na łbach zgorzeją!

— Powiedział mi tedy tak: «Szedł ślepy gościńcem i przewalił się przez kamień. Przewalił się, bo był ślepy, ale przecie kamień przyczyną». Otóż Drezdenko — to taki kamień.

— Jakże to? Jeszcze ci Zakon stoi.

— Nie rozumiecie? Tedy wam inaczej tak powiem: Gdy naczynie zbyt pełne, to jedna kropla je przeleje.

Więc zapał ogarniał rycerstwo tak wielki, iż Maćko musiał go hamować, bo chcieli zaraz na koń siadać i do Sieradza ciągnąć.

— Bądźcie gotowi — mówił im — ale czekajcie cierpliwie. Już też i o nas nie zapomną.

Więc trwali w gotowości, ale czekali długo, tak nawet długo, że niektórzy poczęli znów wątpić. Lecz Maćko nie wątpił, bo jako z przylotu ptactwa poznaje się nadejście wiosny, tak on, jako człek doświadczony, umiał z rozmaitych oznak wywnioskować, że zbliża się wojna — i to wielka.

Więc naprzód nakazano łowy we wszystkich borach i puszczach królewskich, tak ogro-

mne, jakich najstarsi ludzie nie pamiętali. Zbierano tedy tysiącami osaczników na obławy, na których padały całe stada żubrów, turów, jeleni, dzików i różnej pomniejszej zwierzyny. Lasy dymiły przez całe tygodnie i miesiące, w dymach zaś wędzono solone mięsiwa, a następnie odsyłano je do miast wojewódzkich, a stamtąd na skład do Płocka. Oczywistem było, że szło o zapasy dla wielkich wojsk. Maćko wiedział dobrze, co o tem myśleć, bo takie same łowy nakazywał przed każdą większą wyprawą na Litwie Witold. Lecz były i inne oznaki. Oto chłopi poczęli całemi gromadami uciekać «z pod Niemca» do Królestwa i na Mazowsze. W okolicę Bogdańca przybywali głównie poddani niemieckich rycerzy ze Śląska, ale wiedziano, że wszędzie dzieje się to samo, a zwłaszcza na Mazowszu. Czech, gospodarzący w Spychowie na Mazowszu, przysłał stamtąd kilkunastu Mazurów, którzy schronili się do niego z Prus. Ludzie ci prosili, by im pozwolono wziąć udział w wojnie «na piechtę», albowiem chcieli pomścić się swych krzywd na Krzyżakach, których nienawidzili duszą całą. Powiadali też, że niektóre nadgraniczne wsie w Prusiech prawie zupełnie opustoszały, albowiem kmiecie przenieśli się z żonami i dziećmi do księstw mazowieckich. Krzyżacy wieszali wprawdzie schwy-

tanych zbiegów, ale nieszczęsnego ludu nic już nie mogło powstrzymać i niejeden wolał śmierć od życia pod straszliwem jarzmem niemieckiem. Następnie poczęli się roić w całym kraju «dziadowie» z Prus. Ciągnęli oni wszyscy do Krakowa. Napływali z Gdańska, z Malborga, z Torunia, z dalekiego nawet Królewca, ze wszystkich pruskich miast i ze wszystkich komandoryi. Byli między nimi nietylko dziady, ale klechowie, organiści, różni słudzy klasztorni, a nawet klerycy i księża. Domyślano się, że znoszą wiadomości o wszystkiem, co się dzieje w Prusiech: o przygotowaniach wojennych, o utwierdzaniu zamków, o załogach, o wojskach najemnych i gościach. Jakoż szeptano sobie, że wojewodowie po miastach wojewódzkich, a w Krakowie rajcy krakowscy zamykali się z nimi całemi godzinami, słuchając ich i spisując ich wiadomości. Niektórzy wracali chyłkiem do Prus, a potem znowu zjawiali się w Królestwie. Dochodziły wieści z Krakowa, że król i panowie rada wiedzą przez nich o każdym kroku Krzyżaków.

Przeciwnie działo się w Malborgu. Pewien duchowny, zbiegły z tej stolicy, zatrzymał się u dziedziców Koniecpola i opowiadał im, że mistrz Ulryk i inni Krzyżacy nie troszczą się o wieści z Polski i że pewni są, iż jednym za-

machem zawojują i obalą na wieki wieków całe królestwo «tak, aby ślad po niem nie został». Powtarzał przytem słowa mistrza, wypowiedziane na uczcie w Malborgu: «Im ich więcej będzie, tem bardziej kożuchy w Prusiech potanieją». Gotowali się więc do wojny w radości i upojeniu, dufni we własną siłę i pomoc, którą im wszystkie, najdalsze nawet królestwa nadeślą.

Lecz mimo tych wszystkich wojennych oznak, przygotowań i zabiegów wojna nie przychodziła tak prędko, jak sobie ludzie życzyli. Młodemu dziedzicowi z Bogdańca «cniło się» już także w domu. Wszystko było od dawna gotowe; dusza rwała się w nim do sławy i do boju, przeto ciężki mu był każdy dzień zwłoki i często czynił o to wymówki stryjcowi, tak, jakby wojna lub pokój od niego zależały.

— Boście obiecowali napewno, że będzie — mówił — a tu nic i nic!

Na to zaś Maćko:

— Mądryś, ale niebardzo! A to nie widzisz, co się dzieje?

— A jak się król w ostatniej godzinie zgodzi? Mówią, że nie chce wojny.

— Bo nie chce, ale któż jak nie on, zakrzyknął: «Chybabym nie był królem, gdybym Drezdenko zabrać pozwolił», a Drezdenko Niemce jak

wzięli, tak i dotychczas dzierżą. Ba! król nie chce rozlewu krwi chrześcijańskiej, ale panowie rada, którzy rozum mają bystry, czując większą moc polską, przypierają Niemców do ściany i to ci jeno rzekę, że gdyby nie było Drezdenka, toby się znalazło co innego.

— Bo ja słyszałem, to jeszcze mistrz Kondrat zabrał Drezdenko, a on się pewno króla bał.

— Bał się, gdyż lepiej od innych przeznał potęgę polską, ale chciwości zakonnej i on nie umiał pohamować. W Krakowie mówili mi tak: Stary von Ost, dziedzic Drezdenka, w czasie, gdy Krzyżaki zabierały Nową Marchię, pokłonił się jako hołdownik królowi, gdyż to ziemia była od wieków polska, więc chciał do Królestwa należeć. Ale zaprosili ci go Krzyżacy do Malborga, spoili winem i uzyskali od niego zapis. Wtedy to zbrakło już do ostatka królowi cierpliwości.

— Wiera, że mogło mu zbraknąć! — zawołał Zbyszko.

Lecz Maćko rzekł:

— Ale to tak jest, jako Zyndram z Maszkowic powiadał: Drezdenko — to jeno kamień, przez który się ślepy przewalił.

— Gdyby zaś Niemce oddali Drezdenko, to co będzie?

— To znajdzie się inny kamień. Ale nie odda

ci Krzyżak tego, co raz połknął, chyba mu brzucho rozplatasz, co daj Bóg, abyśmy prędko uczynili.

— Nie! — zawołał pokrzepiony na duchu Zbyszko. — Kondrat możeby oddał, Ulryk nie odda. Prawy to rycerz, na którym skazy nijakiej nie masz, ale okrutnie zapalczywy.

Tak to oni z sobą rozmawiali, a tymczasem zdarzenia staczały się, jakby kamienie, potrącone na ścieżkach górskich nogą przechodnia, z coraz większym pędem ku przepaści.

Nagle rozegrzmiała po całym kraju wiadomość, że Krzyżacy napadli i zagrabili staropolski, zastawiony Johannitom Santok. Nowy mistrz Ulryk, który, gdy posłowie polscy przybyli, aby mu złożyć życzenia z powodu jego wyboru, wyjechał umyślnie z Malborga i który od pierwszej chwili swych rządów nakazał, by w stosunkach z królem i Polską miasto łaciny używać języka niemieckiego, pokazał wreszcie, kim jest. Krakowscy panowie, którzy po cichu pchali do wojny, zrozumieli, że on do niej pcha głośno i nietylko głośno, ale naoślep i z takiem zuchwalstwem, jakiego względem polskiego narodu nie dopuszczali się nigdy mistrzowie nawet wówczas, gdy ich potęga była w istocie większą, a Królestwa mniejszą, niż ninie.

Jednakże mniej zapalczywi, a przebieglejsi

od Ulryka dostojnicy Zakonu, którzy znali Witolda, starali się go sobie zjednać darami i pochlebstwy, tak przechodzącymi wszelką miarę, iż podobnych trzeba było chyba szukać w tych czasach, gdy cezarom rzymskim wznoszono za życia świątynie i ołtarze. — «Dwóch jest dobrodziejów Zakonu — mówili posłowie krzyżaccy, bijąc czołem temu namiestnikowi Jagiełły — pierwszy Bóg, a drugi Witold; przeto jest święte każde życzenie i każde słowo Witolda dla Krzyżaków». I błagali go o rozjemstwo w sprawie o Drezdenko, w tej myśli, że gdy, jako podległy królowi, podejmie się sądzić swego zwierzchnika, tem samem go obrazi i dobre ich stosunki przerwą się, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na czas dłuższy. Lecz że panowie-rada wiedzieli o wszystkiem, co się w Malborgu dzieje i zamierza, przeto król wybrał także Witolda na rozjemcę.

I pożałował Zakon wyboru. Dostojnicy krzyżaccy, którym zdawało się, że znają wielkiego księcia, znali go niedość jeszcze, albowiem Witold nietylko przysądził Drezdenko Polakom, lecz wiedząc zarazem i odgadując, na czem się sprawa skończyć musi, podniósł znów Żmujdź i coraz groźniejsze ukazując Zakonowi oblicze, jął ją wspomagać ludźmi, orężem i zbożem, z żyznych ziem polskich nadsyłanem.

Co gdy się stało, wszyscy po wszystkich ziemiach olbrzymiego państwa zrozumieli, że wybiła stanowcza godzina. Jakoż wybiła.

Raz w Bogdańcu, gdy stary Maćko, Zbyszko i Jagienka siedzieli przed bramą kasztelu, zażywając cudnej pogody i ciepła, zjawił się nagle na spienionym koniu nieznany człowiek, cisnął coś nakształt wieńca splecionego z łozy i wierzbiny pod nogi rycerzy — i krzyknąwszy: «Wici! wici!» — pomknął dalej.

A oni zerwali się na równe nogi w wielkiem wzruszeniu. Twarz Maćka stała się groźna i uroczysta. Zbyszko skoczył, aby pchnąć giermka z wicią dalej, poczem wrócił z ogniem w źrenicach i zawołał:

— Wojna! Wreszcie Bóg dał! Wojna!

— I taka, jakiejśmy przedtem nie widzieli! — dorzucił poważnie Maćko.

Następnie krzyknął na czeladź, która w mig zebrała się wokół państwa:

— Dąć w rogi z czatowni na cztery strony świata! a inni niech skoczą na wsie po sołtysów. Konie ze stajen wywieść i wozy zaprzęgać! Duchem!

I głos jego jeszcze nie przegrzmiał, gdy czeladź kopnęła się w różne strony, aby spełnić rozkazy, które nie były trudne, gdyż wszystko

z dawna było gotowe: ludzie, wozy, konie, broń, zbroje, zapasy — tylko siadać i jechać!

Lecz przedtem Zbyszko jeszcze zapytał Maćka:

— A wy nie ostaniecie w domu?

— Ja? Co ci w głowie?

— Bo wedle prawa możecie, że to człowiek z was w leciech podeszły, a byłaby jakowaś opieka nad Jagienką i dziećmi.

— No, to słuchaj: ja do białego włosa czekał na tę godzinę.

I dosyć było spojrzeć na jego zimne, zawzięte oblicze, aby poznać, że na nic wszelka namowa. Zresztą, mimo siódmego krzyżyka, chłop był jeszcze czerstwy jak dąb i ręce łatwo chodziły mu w stawach, a topór w nich aż warczał. Nie mógł wprawdzie już skoczyć w pełnej zbroi bez strzemion na konia, ale i wielu młodych, zwłaszcza między zachodnimi rycerzami, tego uczynić nie mogło. Natomiast ćwiczenie rycerskie posiadał ogromne i bardziej doświadczonego wojownika nie było w całej okolicy.

Jagienka też widocznie nie obawiała się sama zostać, gdyż usłyszawszy słowa męża, wstała i ucałowawszy go w rękę, rzekła:

— Nie frasuj się ty o mnie, miły Zbyszku, bo kasztel jest godny, a i to wiesz, że ja tam

niezbyt płochliwa i że ni kusza ni sulica mi nie nowina. Nie czas o nas myśleć, gdy trza królestwo ratować, a nad nami tu Bóg będzie opiekunem.

I nagle oczy jej wezbrały łzami, które stoczyły się w wielkich kroplach po cudnej liliowej twarzy. Więc ukazawszy gromadkę dzieci, tak dalej mówiła wzruszonym, drgającym głosem:

— Hej! żeby nie one pędraki, pótyby ja ci u nóg leżała, pókibyś mnie nie wziął na tę wojnę!

— Jaguś! — zawolał Zbyszko, chwytając ją w ramiona.

A ona objęła mu też szyję i jęła powtarzać, tuląc się do niego z całej siły:

— Jeno mi ty wróć, mój złoty, mój jedyny, mój najmilejszy!

— A zaś codzień dziękuj Bogu, że ci dał taką niewiastę! — dodał grubym głosem Maćko.

I w godzinę później ściągnięto z czatowni chorągiew na znak nieobecności panów. Zbyszko i Maćko zezwolili, aby Jagienka razem z dziećmi odprowadziła ich do Sieradza, więc po obfitym posiłku ruszyli wszyscy razem z ludźmi i całym taborem wozów.

Dzień był jasny, bez wiatru. Bory stały w ciszy nieruchome. Stada na polach i ugorach zażywały także południowego spoczynku, przeżu-

wając paszę powolnie i jakby w zamyśleniu. Jeno z powodu suchości powietrza wznosiły się tu i ówdzie po drogach kłęby złotego kurzu, a nad owymi kłębami płonęły jakby ogniki, niezmiernie w słońcu błyszczące. Zbyszko ukazywał je żonie i dzieciom, mówiąc:

— Wiecie, co się tam błyska nad kurzawą? To groty kopii i sulic. Wszędy już widać wici doszły i zewsząd ciągnie naród na Niemca.

Jakoż tak było. Niedaleko za granicą Bogdańca spotkali brata Jagienki, młodego Jaśka ze Zgorzelic, który, jako dziedzic dość możny, szedł w trzy kopie, a luda prowadził z sobą dwudziestu.

Wkrótce potem na rozstaju wychyliło się ku nim z tumanów zarosłe oblicze Cztana z Rogowa, który nie był wprawdzie przyjacielem Bogdanieckich, ale teraz krzyknął zdala: «Bywaj na psubraty!» — i skłoniwszy się im życzliwie, pocwałował w siwym obłoku dalej. Spotkali także i starego Wilka z Brzozowej. Głowa już mu się trzęsła nieco ze starości, ale ciągnął i on, by pomścić śmierć syna, którego mu na Śląsku Niemcy zabili.

I w miarę, jak zbliżali się do Sieradza, coraz częstsze były po drogach obłoki kurzawy, a gdy zdala ukazały się już wieże miejskie, cały gościniec roił się od sołtysów i od zbroj-

nych pachołków, którzy wszyscy ciągnęli na miejsce zbioru. Widząc tedy ów lud rojny, a czerstwy i tęgi, w boju uporny, a na niewygody, słoty, chłody i wszelkie trudy nad wszystkie inne wytrzymały, krzepił się w sercu stary Maćko i pewne wróżył sobie zwycięstwo.

LXXX.

I wojna wybuchła wreszcie, nieobfita z początku w bitwy, ale w pierwszych chwilach niezbyt dla Polaków pomyślna. Nim nadciągnęły siły polskie, Krzyżacy zdobyli Bobrowniki, zrównali z ziemią Złotoryę i znów zajęli nieszczęsną, a z takim trudem niedawno odzyskaną ziemię Dobrzyńską. Lecz pośrednictwo czeskie i węgierskie przygasiło na czas burzę wojenną. Nastąpił rozejm, w czasie którego Wacław, król czeski, miał sądzić spory między Polską a Zakonem.

Nie przestano jednak gromadzić wojsk i posuwać ich ku sobie w czasie zimowych i wiosennych miesięcy, gdy zaś przekupiony król czeski wydał wyrok na korzyść Zakonu, wojna musiała wybuchnąć na nowo.

A tymczasem nadeszło lato, a z niem razem nadciągnęły «narody» pod Witoldem. Po przeprawie pod Czerwieńskiem połączyły się oba

wojska i chorągwie książąt mazowieckich. Z drugiej strony w obozie pod Świeciem stanęło sto tysięcy zakutych z żelazo Niemców. Chciał król przeprawić się przez Drwęcę i pójść krótką drogą ku Malborgowi, lecz gdy przeprawa okazała się niepodobną, zawrócił od Kurzętnika ku Działdowu i po skruszeniu zamku krzyżackiego Dąbrowna czyli Gilgenburga, położył się tamże obozem.

Zarówno on, jak i dostojnicy polscy i litewscy wiedzieli, że walna rozprawa musi wkrótce nastąpić, nikt jednak nie sądził, żeby miało przyjść do niej prędzej, niż za kilka dni. Przypuszczano, że mistrz, zabieżawszy drogę królowi, zechce dać wypoczynek swym zastępom, aby do śmiertelnej walki stanęły niestrudzone i świeże. Tymczasem wojska królewskie zatrzymały się na noc w Dąbrownie. Wzięcie tej fortecy, lubo bez rozkazów, a nawet wbrew woli rady wojennej, napełniło otuchą serce króla i Witolda, zamek to bowiem był potężny, oblany jeziorem, o grubych murach i licznej załodze. A jednak rycerstwo polskie wzięło go niemal w mgnieniu oka, z zapałem tak niepohamowanym, że nim cały obóz nadciągnął, już z miasta i zamku pozostały tylko gruzy i zgliszcza, wśród których dzicy wojownicy Witolda i Tatarzy pod

Saladynem wycinali ostatki broniących się z rozpaczą niemieckich knechtów.

Pożar jednakże nie trwał długo, gdyż zgasiła go krótko wprawdzie trwająca, ale ogromna ulewa. Cała noc z czternastego na piętnasty lipca była dziwnie zmienna i nawałnista. Wicher przepędzał burzę za burzą. Chwilami niebo zdało się całe płonąć od błyskawic i grzmoty roztaczały się ze straszliwym łoskotem między wschodem a zachodem. Częste gromy napełniały zapachem siarki powietrze, to znów szum dżdżu zagłuszał wszystkie inne odgłosy. A potem wiatr rozpędzał chmury i wpośród ich strzępów widać było gwiazdy i jasny wielki miesiąc. Po północy dopiero uciszyło się nieco, tak, że można było przynajmniej ognie rozpalić. Jakoż w tej chwili zabłysły ich tysiące i tysiące w niezmiernym polsko-litewskim obozie. Wojownicy suszyli przy nich przemokłe szaty i śpiewali pieśni bojowe.

Król czuwał również, albowiem w domu, położonym na samym skraju obozów, do którego schronił się przed burzą, zasiadała rada wojskowa, przed którą zdawano sprawę ze zdobycia Gilgenburga. Ponieważ w szturmie brała udział chorągiew sieradzka, więc przywódca jej, Jakób z Koniecpola, wezwany był wraz z innymi do usprawiedliwienia się, dlaczego bez rozkazów dobywali miasta i nie zaniechali szturmu,

chociaż król wysłał dla powstrzymania ich swego podwojskiego i kilku podręcznych pachołków.

Z tej przyczyny wojewoda, nie będąc pewien, czy nie spotka go nagana, albo nawet i kara, zabrał z sobą kilkunastu przedniejszych rycerzy, a między nimi starego Maćka i Zbyszka, jako świadków, że podwojski dotarł do nich dopiero wówczas, gdy byli już na murach zamku i w chwili najzawziętszej bitwy z załogą. A co do tego, że uderzył na zamek: «trudno (mówił) pytać o wszystko, gdy wojska na kilka mil się rozciągają. Wysłany będąc w przodku, rozumiał, iż ma powinność kruszyć przeszkody przed wojskiem i bić nieprzyjaciela, gdzie go napotka». Więc wysłuchawszy tych słów, król, książę Witold i panowie, którzy w duszy radzi byli temu, co się stało, nietylko nie przyganili wojewodzie i Sieradzanom ich postępku, ale sławili jeszcze ich męstwo, że «tak wartko pożyli zamek i mężną załogę». Mogli wówczas Maćko i Zbyszko napatrzyć się największym głowom w królestwie, bo prócz króla i książąt mazowieckich znajdowali się tam dwaj przywódcy wszystkich zastępów: Witold, który Litwinom, Żmujdzi, Rusinom, Besarabom, Wołochom i Tatarom przywodził — i Zyndram z Maszkowic, herbu «tego samego, co słońce»,

miecznik krakowski, główny sprawca wojsk polskich, przewyższający wszystkich znajomością spraw wojennych. Oprócz nich byli w tej radzie wielcy wojownicy i statyści: kasztelan krakowski Krystyn z Ostrowa i wojewoda krakowski Jaśko z Tarnowa i poznański Sędziwój z Ostroroga i sędomierski Mikołaj z Michałowic i proboszcz od św. Floryana, a zarazem podkanclerzy Mikołaj Trąba i marszałek królestwa Zbigniew z Brzezia i Piotr Szafraniec, podkomorzy krakowski i wreszcie Ziemowit, syn Ziemowita, księcia na Płocku, jeden między nimi młody, ale dziwnie «do wojny przemyślny», którego zdanie wysoce sobie sam wielki król cenił.

A w przyległej, obszernej izbie czekali, aby być pod ręką i w razie zapytania radą się przysłużyć, najwięksi rycerze, których sława grzmiała szeroko w Polsce i za granicą; więc ujrzeli tam Maćko i Zbyszko Zawiszę Czarnego Sulimczyka i jego brata Farureja i Skarbka Abdanka z Gór i Dobka z Oleśnicy, który swego czasu dwunastu niemieckich rycerzy w Toruniu na turnieju z siodła wysadził i olbrzymiego Paszka Złodzieja z Biskupic i Powałę z Taczewa, który życzliwym im był przyjacielem i Krzona z Kozichgłów i Marcina z Wrocimowic, który wielką chorągiew całego

królestwa nosił i Floryana Jelitczyka z Korytnicy i strasznego w ręcznem spotkaniu Lisa z Targowiska i Staszka z Charbimowic, który w pełnej zbroi przez dwa rosłe konie mógł przeskoczyć.

Było i wielu innych słynnych rycerzy przedchorągiewnych z rozmaitych ziem i z Mazowsza, których przedchorągiewnymi zwano dlatego, że w pierwszym szeregu stawali do bitwy. Lecz znajomkowie, a szczególnie Powała, radzi witali Maćka i Zbyszka i zaraz poczęli z nimi o dawnych czasach i przygodach rozmawiać.

— Hej! — mówił do Zbyszka pan z Taczewa. — Już-ci ciężkie ty masz z Krzyżaki rachunki, ale tak tuszę, że im teraz za wszystkie czasy zapłacisz.

— Zapłacę, choćby krwią, jako i wszyscy zapłacim! — odrzekł Zbyszko.

— A wiesz, że twój Kuno Lichtenstein jest ninie wielkim komturem? — ozwał się Paszko Złodziej z Biskupic.

— Wiem, i stryj wiedzą też.

— Daj mi go Bóg spotkać — przerwał Maćko — bo ja osobną mam z nim sprawę.

— Ba! Przecie pozywaliśmy go i my — odpowiedział Powała — ale odrzekł, że urząd nie

pozwala mu się potykać. No, teraz chyba pozwoli.

Na to zaś Zawisza, który zawsze mówił z powagą wielką, rzekł:

— Tego on będzie, komu go Bóg przeznaczy.

Lecz Zbyszko z samej ciekawości wytoczył zaraz przez sąd Zawiszy sprawę stryjka i zapytał, czy nie zadość się stało ślubowaniu przez to, że Maćko potykał się z krewnym Lichtensteina, który się ofiarował w zastępstwo, i takowego zabił. I wszyscy zakrzyknęli, że zadość. Sam tylko zawzięty Maćko, chociaż ucieszył się z wyroku, rzekł:

— Ba, przecież pewniejszy byłbym zbawienia, gdybym samego Kunona spotkał!

I następnie poczęli mówić o wzięciu Gilgenburga i o przyszłej wielkiej bitwie, której spodziewali się wkrótce, bo przecie nie miał mistrz nic innego do zrobienia, jeno królowi drogę zabiedz.

Ale gdy właśnie łamali głowy nad tem, za ile dni spotkanie może nastąpić, zbliżył się ku nim chudy i długi rycerz, przybrany w czerwone sukno z takąż mycką na głowie i rozłożywszy ręce, rzekł miękkim, prawie niewieścim głosem:

— Pozdrowienie ci, rycerzu Zbyszku z Bogdańca!

— De Lorche! — zakrzyknął Zbyszko — tyś tu!

I chwycił go w objęcia, gdyż wdzięczne pozostało mu o nim wspomnienie, a gdy ucałowali się, jakby najbliżsi przyjaciele, począł wypytywać z radością:

— Tyś tu? po naszej stronie?

— Wielu może geldryjskich rycerzy znajduje się po tamtej stronie — odrzekł de Lorche — ale jam panu memu, księciu Januszowi, służby z Dlugolasu powinien.

— Toś ty dziedzicem po starym Mikolaju na Dlugolesie?

— Tak. Bo po śmierci Mikolaja i syna jego, któren pod Bobrownikami zabit, Dlugolas przypadł na cudną Jagienkę, a od lat pięciu moją niewiastę i panią.

— Dla Boga! — zawolał Zbyszko — powiadaj, jako ci to przyszło?

Lecz de Lorche, powitawszy starego Maćka, rzekł:

— Dawny wasz giermek Głowacz powiedział mi, że was tu znajdę, a teraz czeka u mnie w namiocie i nad wieczerzą czuwa. Dalekoć to wprawdzie i na drugim końcu obozu, ale końmi prędko się przejedzie więc, jedźcie ze mną.

Poczem, zwróciwszy się do Powały, którego

poznał w dawniejszych czasach w Płocku, dodał:

— I wy, szlachetny panie. Będzie to dla mnie szczęście i honor.

— Dobrze — odparł Powała. — Miło ze znajomymi ugwarzyć, a po drodze jeszcze się obozowi przypatrzym.

Więc wyszli, by siąść na koń i jechać. Przedtem jednak sługa de Lorchego ponarzucał im na ramiona opończe, które widocznie przywiózł umyślnie. Ów, zbliżywszy się do Zbyszka, pocałował go w rękę i rzekł:

— Pokłon i cześć wam, panie. Jam dawny sługa wasz, ale w ciemności nie możecie mnie rozeznać. Czy pamiętacie Sanderusa?

— Prze Bóg! — zawołał Zbyszko.

I na chwilę odżyły w nim wspomnienia przeżytych smutków, bólów i dawnej niedoli, tak samo, jak parę tygodni temu, gdy po połączeniu się wojsk królewskich z chorągwiami książąt mazowieckich, spotkał po długiem niewidzeniu dawnego swego giermka Hławę.

Więc rzekł:

— Sanderus! Hej! Pamiętam i te dawne czasy i ciebie! Cóżeś od onej pory porabiał i gdzieś się obracał? Zali już nie nosisz relikwii?

— Nie, panie. Aż do ostatniej wiosny by-

łem klechą przy kościele w Długolesie, ale że nieboszczyk ojciec mój wojennem rzemiosłem się zajmował, przeto, gdy wojna wybuchła, zaraz mi zbrzydła miedź na kościelnych dzwonach, a zbudziła się chętka do żelaza i stali.

— Co słyszę! — zawołał Zbyszko, który jakoś nie mógł wyobrazić sobie Sanderusa, stawającego z mieczem, rohatyną, albo toporem do boju.

Ów zaś rzekł, podając mu strzemię:

— Rok temu z rozkazu biskupa płockiego chodziłem do pruskich krajów, przez co znaczną posługę oddałem, ale to później opowiem, a teraz siadajcie Wasza Wielkość na koń, gdyż ów grabia czeski, którego wołacie Hlawa, czeka na was z wieczerzą w namiotach pana mego.

Więc Zbyszko siadł na koń i zbliżywszy się do pana de Lorche, jechał w pobok, aby swobodnie z nim rozmawiać, albowiem ciekawy był jego dziejów.

— Okrutniem rad — rzekł — iżeś po naszej stronie, ale mi to dziwne, boś przecie u Krzyżaków służył.

— Służą ci, którzy żołd biorą — odparł de Lorche — a jam go nie brał. Nie. Jam między Krzyżaków przyjechał w tym jeno celu, aby przygód szukać i pas rycerski pozyskać, który, jak ci wiadomo, z rąk polskiego księcia pozy-

skalem. I bawiąc długie lata w tych krajach, poznałem, po czyjej stronie słuszność, a gdym się przytem tu ożenił i osiedlił, jakże mi było przeciw wam stawać? Jam już tutejszy i patrz, jakom się mowy waszej wyuczył. Ba! swojej już nieco zapomniałem.

— A twoja majętność w Geldryi? Bo jakom słyszał, toś tamtejszemu władcy pokrewny i dziedzic wielu zamków i włości.

— Dziedzictwo moje krewnemu Fulkonowi de Lorche ustąpiłem, który mi je spłacił. Pięć roków temu byłem w Geldryi i dostatki wielkie stamtąd przywiozłem, za którem się na Mazowszu okupił.

— A jakże się to stało, żeś się z Jagienką z Długolasu ożenił?

— Ach! — odpowiedział de Lorche — kto zdoła odgadnąć niewiastę? Dworowała ci ona ze mnie zawsze, aż, gdym mając tego dosyć, oświadczył jej, że do Azyi na wojnę z żalu pojadę i już nigdy nie wrócę, rozpłakała się niespodzianie i rzekła: «To ja mniszką ostanę». Padłem jej do nóg za te słowa, a we dwie niedziele później biskup płocki pobłogosławił nam w kościele.

— Dzieci zaś macie? — zapytał Zbyszko.

— Po wojnie Jagienka wybiera się do grobu

waszej królowej Jadwigi, aby ją o błogosławieństwo uprosić — odrzekł, wzdychając, de Lorche.

— Dobrze. Powiadają, że to pewny sposób i że w tych rzeczach niemasz lepszej nad naszą świętą królową orędowniczki. Walne spotkanie nastąpi za kilka dni, a potem będzie spokój.

— Tak.

— Ale Krzyżacy pewnie cię za zdrajcę poczytują.

— Nie! — rzekł de Lorche. — Wiesz, jako czci rycerskiej przestrzegam. Jeździł Sanderus ze zleceniami biskupa płockiego do Malborga, więc posłałem przez niego pismo do mistrza Ulryka, w którem wypowiedziałem mu służbę i wyłuszczyłem mu przyczyny, dla których po waszej stronie staję.

— Ha! Sanderus! — zawołał Zbyszko. — Mówił mi, że mu śpiż na dzwonach zbrzydł i że do żelaza zbudziła się w nim chętka, co mi i dziwne, bo zajęcze zawsze miał on serce.

A pan de Lorche odrzekł:

— Sanderus tyle ma ze stalą albo z żelazem do czynienia, że mnie i moich giermków goli.

— Tak to? — zapytał rozweselony Zbyszko.

Czas jakiś jechali w milczeniu, poczem de Lorche podniósł oczy ku niebu i rzekł:

— Prosilem was na wieczerzę, ale nim zajedziem, to chyba będzie śniadanie.

— Miesiąc jeszcze świeci — odparł Zbyszko.— Jedźmy.

Więc zrównawszy się z Maćkiem i Powałą, jechali dalej razem we czwórkę szeroką obozową ulicą, którą wytykano zawsze z rozkazu dowódców między namiotami i ogniskami, aby przejazd był wolny. Chcąc dostać się do stojących na drugim końcu obozu chorągwi mazowieckich, musieli go cały wzdłuż przejechać.

— Jak Polska Polską — ozwał się Maćko — jeszcze takich wojsk nie widziała, bo spłynęły narody ze wszystkich krain ziemi.

— Żaden też inny król takich nie postawi — odpowiedział de Lorche — bo żaden tak potężnem państwem nie władnie.

A stary rycerz zwrócił się do Powały z Taczewa:

— Ile, mówicie, panie, przyszło chorągwi z kniaziem Witoldem?

— Czterdzieście — odrzekł Powała. — Naszych polskich wraz z Mazurami jest pięćdziesiąt, ale nie tak okryte, jak Witoldowe, bo u niego czasem i kilka tysięcy ludzi pod jednym znakiem służy. Ha! Słyszeliśmy, iż mistrz rzekł, że to hołota lepsza do łyżek, niż do miecza, ale bogdaj że w złą godzinę to wymówił,

bo tak myślę, że litewskie sulice okrutnie się od krzyżackiej juchy zaczerwienią.

— A ci, wedle których teraz przejeżdżamy, którzy są? — zapytał de Lorche.

— To Tatary; przywiódł ich Witoldowy hołdownik Saladyn.

— Dobrzyż do bitwy?

— Litwa umie z nimi wojować i znaczną ich część podbiła, z której przyczyny musieli na tę wojnę przyciągnąć. Ale zachodniemu rycerstwu ciężko z nimi, gdyż oni w ucieczce straszniejsi, niż w spotkaniu.

— Przypatrzmy się im bliżej — rzekł de Lorche.

I pojechali ku ogniskom, które otaczali ludzie z nagiemi całkiem ramionami, odziani mimo pory letniej w owcze tułuby wełną do góry. Większa część ich spała wprost na gołej ziemi, albo na mokrej i parującej od żaru słomie, lecz wielu siedziało w kuczki przy płonących stosach; niektórzy skracali sobie godziny nocne, podśpiewując przez nos dzikie pieśni i uderzając do wtóru jednym piszczelem końskim o drugi, co czyniło dziwny i nieprzyjemny łoskot; inni mieli małe bębenki lub brzdąkali na naciągniętych cięciwach łuków. Inni żarli świeżo wyjęte z ognia, dymiące, a zarazem krwawe kawały mięsiwa, na które dmuchali wzdętemi, sinemi

wargami. Wogóle wyglądali tak dziko i złowrogo, że łatwiej ich było wziąć za jakieś okropne stwory leśne, niż za ludzi. Dymy ognisk były gryzące od końskiego i baraniego tłuszczu, który w nich topniał, a prócz tego rozchodził się naokół nieznośny swąd przypalonej sierści, przygrzanych tułubów i ckliwa woń świeżo zdartych skór i krwi. Z drugiej, ciemnej strony ulicy, gdzie stały konie, zawiewało ich potem. Szkapy owe, których kilkaset trzymano dla rozjazdów w pobliżu, wygryzłszy trawę z pod nóg, gryzły się między sobą, kwicząc przeraźliwie i chrapiąc. Koniuchowie uśmierzali walkę głosem i batami z surowca.

Niebezpiecznie było zapuszczać się w pojedynkę między nich, gdyż dzicz to była niesłychanie drapieżna. Tuż za nimi stały niewiele mniej dzikie watahy Besarabów, z rogami na głowach, długowłosych Wołochów, noszących miast pancerzy drewniane, malowane deski na piersiach i plecach, z niezgrabnymi wizerunkami upiorów, kościotrupów lub zwierząt; dalej Serby, których uśpiony teraz obóz rozbrzmiewał we dnie w czasie postojów jakby jedna wielka lutnia, tyle w nim było fletni, bałabajek, multanków i różnych narzędzi muzycznych.

Świeciły ognie, a z nieba wśród chmur, które mocny wiatr rozwiewał, świecił jasny wielki miesiąc i przy owych blaskach przypatrywali się nasi rycerze obozom. Za Serbami stała nieszczęsna Żmujdź. Niemcy wytoczyli z niej potoki krwi, a jednak na każde wezwanie Witolda zrywała się do nowych bojów. I teraz, jakby w przeczuciu, że niedola jej skończy się wkrótce raz na zawsze, przyciągnęła tu przejęta duchem tegoż Skirwojłły, którego samo imię przejmowało Niemców wściekłością i trwogą. Ogniska żmujdzkie stykały się wprost z litewskiemi, gdyż ten sam był to naród, ten sam obyczaj i mowa.

Lecz przy wjeździe do litewskich obozów posępny obraz uderzył oczy rycerzy. Oto na zbitej z okrąglaków szubienicy zwieszały się dwa trupy ludzkie, które wiatr kołysał, huśtał okręcał i podrzucał z taką siłą, że aż bale szubienicy skrzypiały żałośnie. Chrapnęły na widok trupów i przysiadły nieco na zadach konie, więc rycerze poczęli się żegnać pobożnie, a gdy przejechali, Powała rzekł:

— Kniaź Witold był razem z królem, a ja byłem przy królu, gdy przywiedziono tych winowajców. Już poprzednio skarżyli się nasi biskupi i panowie, że Litwa zbyt okrutnie wojuje i kościołów nawet nie oszczędza. Więc

gdy ich przywiedziono (a byli to znaczni ludzie, ale Najświętszy Sakrament nieszczęśnicy pono znieważyli), napęczniał kniaź tak gniewem, że strach było nań spojrzeć — i powiesić im się kazał. To niebożęta sami szubienicę utwierdzić musieli i sami ci się powiesili, a jeszcze jeden drugiego naganiał: «Nuże prędzej, bo kniaź się gorzej rozgniewa!» I strach padł na wszystkich Tatarów i Litwinów, bo oni nie śmierci, ale książęcego gniewu się boją.

— Ba, pomnę — rzekł Zbyszko — że gdy onego czasu w Krakowie król rozgniewał się na mnie o Lichtensteina, to młody kniaź Jamont, który był rękodajnym królewskim, też zaraz radził mi się powiesić. I z dobrego serca dawał tę radę, chociaż bylbym go za nią pozwał na udeptaną ziemię, gdyby nie to, że i tak mieli mi, jako wiecie, szyję uciąć.

— Kniaź Jamont nauczył się już rycerskich obyczajów — odrzekł Powała.

Tak rozmawiając, minęli wielki obóz litewski i trzy świetne pułki ruskie, z których najliczniejszy był smoleński, a wjechali do polskiego obozu. Stało tam pięćdziesiąt chorągwi, jądro i zarazem czoło wszystkich wojsk. Zbroje tu były lepsze, konie ogromniejsze, rycerstwo bardziej ćwiczone, w niczem zachodniemu nie ustępujące. Siłą członków ciała,

wytrwałością na głód, zimno i trudy przewyższali nawet ci dziedzice z Wielko- i Małopolski bardziej dbałych o wygody wojowników z Zachodu. Obyczaj ich był prostszy, pancerze grubiej kowane, ale hart większy, a ich pogardę śmierci i niezmierną w boju uporczywość podziwiali już swego czasu nieraz przybyli z daleka francuscy i angielscy rycerze.

De Lorche, który znał polskie rycerstwo od dawna, tak też mówił:

— Tu cała siła i cała nadzieja. Pamiętam, jako w Malborgu nieraz narzekano, że w bitwie z wami każdą piędź ziemi trzeba rzeką krwi okupić.

— Rzeką też i teraz krew popłynie — odpowiedział Maćko — bo i Zakon nigdy dotychczas takiej potęgi nie zebrał.

Na to zaś Powała:

— Powiadał rycerz Korzbóg, który od króla do mistrza z listami jeździł, iż Krzyżacy mówią, że ni cesarz rzymski, ni żaden król nie ma takiej potęgi i że Zakon mógłby wszystkie królestwa zawojować.

— Ba, przecie nas więcej — rzekł Zbyszko.

— Tak, ale oni lekko sobie Witoldowe wojsko ważą, że to lud byle jako zbrojny i że się od pierwszego uderzenia skruszy, jako gliniany

garnek pod młotem. A prawda-li to, czy też nieprawda, nie wiem.

— I prawda i nieprawda! — ozwał się roztropny Maćko. — My ze Zbyszkiem znamy ich, bośmy razem z nimi wojowali. Jużci zbroja u nich gorsza i chmyzowate konie, przeto często bywa, że się pod naporem rycerstwa ugną, ale serca mają tak chrobre, albo i mężniejsze, niż Niemce.

— Niezadługo się to pokaże — rzekł Powała. — Królowi ciągle śluzy do oczu płyną na myśl, że tyle się krwie chrześcijańskiej rozleje i do ostatniej chwili radby sprawiedliwy pokój zawrzeć, ale pycha krzyżacka do tego nie dopuści.

— Jako żywo! Znam ja Krzyżaków i wszyscy ich znamy — przytwierdził Maćko. — Bóg już tam wagi przyładował, na których położy krew naszą i nieprzyjaciół naszego plemienia.

Już byli niedaleko chorągwi mazowieckich, między któremi tkwiły namioty pana de Lorche, gdy wtem na środku «ulicy» spostrzegli sporą gromadę ludzi zbitych w kupę i patrzących na niebo.

— Stójcie tam! stójcie! — zawołał jakiś głos na środku gromady.

— A kto mówi i co tu robicie? — zapytał Powała.

— Proboszcz Kłobucki. A wy kto?

— Powała z Taczewa, rycerze z Bogdańca i de Lorche.

— Ach, to wy, panie — rzekł tajemniczym głosem ksiądz proboszcz, zbliżając się do konia Powały. — Spojrzyjcie jeno na miesiąc i patrzcie, co się na nim wyrabia. Wróżebna to i cudowna noc!

Więc rycerze podnieśli głowy i poczęli patrzeć na księżyc, który już zbladł i blizki był zachodu.

— Nie mogę nic rozeznać! — rzekł Powała. — A wy co widzicie?

— Mnich w kapturze potyka się z królem w koronie! Patrzcie! o tam! W imię Ojca i Syna i Ducha! O jakże się okrutnie zmagają... Boże, bądź miłościw nam grzesznym!

Naokół zapadła cisza, bo wszyscy wstrzymali oddech w piersiach.

— Patrzcie, patrzcie! — wołał ksiądz.

— Prawda! coś ci takiego jest! — rzekł Maćko.

— Prawda! prawda! — potwierdzili inni.

— Ha! król obalił mnicha — zakrzyknął nagle proboszcz Kłobucki — nogę na nim postawił! Pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków!

W tej chwili duża czarna chmura przykryła księżyc i noc stała się ciemna, tylko blask ognisk drgał krwawemi pasmami wpoprzek drogi.

Rycerze ruszyli dalej, a gdy już odjechali od gromady, Powała spytał:

— Widzieliście co?

— Z początku nic — odpowiedział Maćko — ale potem widziałem wyraźnie i króla i mnicha.

— I ja.

— I ja.

— Znak Boży — ozwał się Powała. — Ha! to już mimo łez naszego króla nic, widać, z pokoju nie będzie.

— A bitwa będzie taka, jakiej świat nie pamięta — rzekł Maćko.

I jechali dalej w milczeniu, mając serca wezbrane i uroczyste.

Lecz gdy już byli niedaleko namiotu pana de Lorche, zerwał się znów wicher z taką siłą, że w mgnieniu oka porozrzucał ogniska Mazurów. Powietrze zaroiło się tysiącami głowni, płonących szczypek, skier, a zarazem przesłoniło się kłębami dymu.

— Hej, dmie okrutnie! — mówił Zbyszko,

ociągając opończę, którą mu wiatr na głowę zarzucił.

— A w wichurze jakoby jęki i płacz ludzki słychać.

— Świt już niezadługo, ale nikt nie wie, co mu dzień przyniesie — dodał de Lorche.

LXXXI.

Nad ranem wichura nietylko nie ustała, ale wzmogła się do tego stopnia, że niepodobna było rozpiąć namiotu, w którym król zwykł był od początku wyprawy słuchać codziennie trzech mszy świętych. Przybiegł wreszcie Witold z prośbami i błaganiem, aby nabożeństwo do stosowniejszej pory w zaciszach leśnych odłożyć i nie wstrzymywać pochodu. Jakoż stało się zadość jego życzeniu, bo nie mogło być inaczej.

O wschodzie słońca ruszyły wojska ławą, a za niemi nieprzejrzany tabor wozów. Po godzinie pochodu wiatr uciszył się, tak, że można było rozwinąć chorągwie. I wówczas pola, jak okiem sięgnąć, pokryły się niby kwieciem stubarwnem. Żadne oko nie mogło objąć zastępów i tego lasu rozmaitych znaków, pod którymi pułki posuwały się naprzód. Szła więc ziemia Krakowska pod czerwoną chorągwią z białym orłem w koronie, była zaś to chorągiew naczelna całego Królestwa, wielki znak dla wszystkich

wojsk. Niósł ją Marcin z Wrocimowic, herbu Półkozy, rycerz potężny i w świecie sławny. Za nią szły hufce nadworne, jeden mając nad sobą podwójny krzyż litewski, drugi pod Pogonią. Zaś pod znakiem św. Jerzego ciągnął potężny zastęp najemników i ochotników zagranicznych, przeważnie z Czechów i Morawców złożony. Tych wielu stanęło na tę wojnę, bo i cała czterdziesta dziewiąta chorągiew była wyłącznie z nich złożona. Lud to był, zwłaszcza w piechocie, która ciągnęła za kopijnikami, dziki, niesforny, ale do bitwy tak zaprawny, a w spotkaniu tak zaciekły, iż wszelkie inne piechoty, gdy się o nich otarły, odskakiwały co prędzej, jako pies od jeża. Berdysze, kosy, topory, a szczególnie żelazne cepy stanowiły ich broń, którą władali wprost strasznie. Najmowali się oni każdemu, kto ich płacił, albowiem żywiołem ich jedynym była wojna, grabież, rzeź.

Wpobok Morawców i Czechów szło pod swymi znakami szesnaście chorągwi ziem polskich, w tych jedna przemyska, jedna lwowska, jedna halicka i trzy podolskie, a za niemi piechoty tychże ziem, przeważnie zbrojne w rohatyny i w kosy. Książęta mazowieccy Janusz i Ziemowit wiedli chorągwie dwudziestą pierwszą, drugą i trzecią. Tuż szły biskupie, a potem pańskie w liczbie dwudziestu dwóch. Więc Jaśka

z Tarnowa, Jędrka z Tęczyna, Spytka Leliwy, i Krzona z Ostrowa, i Mikołaja z Michałowa, i Zbigniewa z Brzezia, i Krzona z Kozichgłów, i Kuby na Koniecpolu, i Jaśka Ligęzy, i Kmity, i Zakliki, a oprócz nich rodowa Gryfitów i Bobowskich i Koźlich Rogów i różnych innych, którzy w bitwach zbierali się pod wspólnem herbowem godłem i wspólne wykrzykiwali «zawołanie».

I tak rozkwitła pod niemi ziemia, jak rozkwitają łąki na wiosnę. Szła fala koni, fala ludzi, nad nimi las kopii z barwnemi «płachetkami» nakształt drobniejszych kwiatów, a z tyłu, w obłokach kurzawy, miejskie i kmiece piechoty. Wiedzieli, że ku bitwie straszliwej idą, ale wiedzieli, że «trzeba», więc szli z ochotnem sercem.

Na prawem zaś skrzydle płynęły Witoldowe watahy pod chorągwiami różnej barwy, ale z jednakiem wyobrażeniem litewskiej Pogoni. Żaden wzrok nie mógł objąć wszystkich zastępów, ciągnęły się one bowiem wśród pól i lasów na szerokość przeszło mili niemieckiej.

Przed południem, przyszedłszy wojska w pobliże wsi Logdau i Tannenberga, zatrzymały się na krawędzi lasu. Miejsce zdało się dobre na spoczynek i zabezpieczone od wszelkiej niespodzianej napaści, gdyż z lewej strony oblewała je łacha jeziora Dąbrowskiego, z prawej zaś je-

zioro Lubiecz, przed wojskami zaś otwierała się szeroka na milę przestrzeń polna. W środku owej przestrzeni, wznoszącej się ku zachodowi łagodnie w górę, zieleniły się łęgi Grunwaldu, a nieco w dali szarzały słomiane dachy i puste, smutne ugory Tannenberga. Nieprzyjaciela, któryby spuszczał się ku lasom i wyniosłości, łatwo było dostrzedz, ale nie spodziewano się, aby mógł prędzej, niż nazajutrz nastąpić. Zatrzymały się też tu wojska tylko na postój, że jednak biegły w rzeczach wojny Zyndram z Maszkowic nawet w pochodzie przestrzegał bojowego porządku, więc stanęły tak, aby w każdej chwili mogły być do sprawy gotowe. Z rozkazu wodza wysłano wnet na lekkich a ścigłych koniach gońców, hen, przed się, w stronę Grunwaldu i Tannenberga i dalej, aby zbadali okolicę, a tymczasem dla łaknącego nabożeństwa króla ustawiono na wysokim brzegu jeziora Lubiecz namiot kapliczny, aby mógł zwykłych mszy wysłuchać.

Jagiełło, Witold, książęta mazowieccy i rada wojenna udali się do namiotu. Przed nim zaś zgromadziło się przedniejsze rycerstwo, już to dlatego, aby polecić się Bogu przed dniem strasznym, już aby na króla popatrzeć. I widziano go, jak szedł w szarej obozowej szacie, z twarzą poważną, na której osiadła wyraźnie ciężka

troska. Lata mało zmieniły jego postać i nie pokryły mu zmarszczkami oblicza, ani nie ubieliły mu włosów, które i teraz zakładał tak samo prędkim ruchem za uszy, jak wówczas, gdy Zbyszko widział go po raz pierwszy w Krakowie. Ale szedł jakby pochylony pod brzemieniem strasznej odpowiedzialności, która ciążyła na jego ramionach, jak gdyby pogrążon w wielkim smutku. W wojsku mówiono sobie, że król płacze ustawicznie nad tą krwią chrześcijańską, która ma być przelana, i tak było istotnie. Jagiełło wzdrygał się przed wojną, zwłaszcza z ludźmi, którzy na płaszczach i chorągwiach krzyż nosili i z całej duszy pragnął pokoju. Próżno mu panowie polscy, a nawet pośrednicy węgierscy Ścibor i Gara, wystawiali pychę i dufność krzyżacką, którą przepełnion mistrz Ulrych gotów był cały świat wyzwać do boju; próżno mu jego własny wysłannik Piotr Korzbog przysięgał na krzyż Pański i na swoje ryby herbowe, że Zakon ani chce słyszeć o pokoju i że jedynego komtura gniewskiego, hrabiego von Wende, który do pokoju nakłaniał, inni obrzucili szyderstwy i obelgami — on jeszcze miał nadzieję, że nieprzyjaciel uzna słuszność jego żądań, pożałuje krwi ludzkiej i sprawiedliwym układem straszliwą waśń zakończy.

Więc i teraz poszedł się modlić o to do ka-

plicy, gdyż prostą a dobrotliwą duszę jego dręczył ogromny niepokój. Nawiedzał już ongi Jagiełło ogniem i żelazem ziemie krzyżackie, ale czynił to jako pogański książę litewski, lecz teraz, gdy jako król polski i chrześcijanin ujrzał płonące sioła, zgliszcza, krew i łzy, ogarnęła go bojaźń gniewu bożego, zwłaszcza, że to był dopiero początek wojny. Gdyby choć na tem poprzestać! Ale oto dziś, jutro zetrą się narody i ziemia rozmięknie od krwi. Jużci nieprawy jest ten nieprzyjaciel, ale jednak krzyże na płaszczach nosi i bronią go tak wielkie i święte relikwie, że myśl cofa się przed niemi przerażona. W całem wojsku myślano przecież o nich z obawą i nie grotów, nie mieczów, nie toporów, ale tych świętych szczątków obawiali się głównie Polacy. «Jakoże nam będzie na mistrza ramię podnosić — mówili nieznający trwogi rycerze — gdy na pancerzu u niego relikwiarz, a w nim i kości święte i drzewo krzyża Zbawiciela!» Witold gorzał wprawdzie wojną, pchał do niej i spieszył się do bitwy, lecz pobożne serce króla truchlało po prostu na wspomnienie tych mocy niebieskich, któremi Zakon osłaniał swą nieprawość.

LXXXII.

Już właśnie ksiądz Bartosz z Kłobucka skończył jedną mszę, a Jarosz, proboszcz kaliski, miał wkrótce wyjść z drugą i król wyszedł przed namiot, aby rozprostować nieco zmęczone klęczeniem kolana, gdy na spienionym koniu wpadł jak burza szlachcic Hanko Ostojczyk i, nim z siodła zeskoczył, zakrzyknął:

— Niemce, miłościwy panie!

Porwali się na te słowa rycerze, król zmienił się na twarzy, zamilkł przez mgnienie oka, poczem zawołał:

— Pochwalony Jezus Chrystus! Gdzieś ich widział i ile chorągwi?

— Widziałem jedną chorągiew przy Grunwaldzie — odpowiedział zdyszanym głosem Hanko — ale z za wzgórza kurzawa szła, jakby ich więcej ciągnęło!

— Pochwalony Jezus Chrystus! — powtórzył król.

A wtem Witold, któremu za pierwszem słowem Hanki krew uderzyła do twarzy i oczy poczęły się żarzyć jak węgle, zwrócił się do dworzan i zawołał:

— Odwołać drugą mszę, i konia mi!

Król zaś położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Jedź ty, bracie, a ja ostanę i drugiej mszy wysłucham.

Więc Witold i Zyndram z Maszkowic wskoczyli na konie, lecz właśnie w chwili, gdy zawrócili ku obozom, przyleciał drugi goniec, szlachcic Piotr Oksza z Włostowa, i zdala już począł krzyczeć:

— Niemce! Niemce! widziałem dwie chorągwie!

— Na koń!! — ozwały się głosy między dworzany i rycerstwem.

A jeszcze Piotr mówić nie przestał, gdy znów rozległ się tętent i przypadł trzeci goniec, a za nim czwarty, piąty i szósty: wszyscy widzieli chorągwie niemieckie, nadciągające w coraz większej liczbie. Nie było już wcale wątpliwości, że cała armia krzyżacka zastępuje drogę wojskom królewskim.

Rycerze porozjeżdżali się w mgnieniu oka do swoich chorągwi. Z królem przy namiocie kaplicznym pozostała tylko garstka dworzan, księży i pachołków. Ale w tej chwili rozległ

się dzwonek na znak, że proboszcz kaliski wychodzi z drugą mszą, więc Jagiełło wyciągnął ramiona, złożył pobożnie dłonie i, wzniósłszy oczy ku niebu, wolnym krokiem udał się do namiotu.

* * *

Lecz gdy po skończonej mszy wyszedł znowu przed namiot, mógł już własnemi oczyma przekonać się, że prawdę mówili gońce, gdyż na krańcach wznoszącej się coraz bardziej ku górze rozległej równiny zaczerniało coś, jak gdyby bór wyrósł nagle na pustych polach, a nad tym borem grała i mieniła się w słońcu tęcza chorągwiana. Jeszcze dalej, hen! za Grunwaldem i Tannenbergiem wznosił się ku niebu olbrzymi obłok kurzawy. Król objął wzrokiem cały ten groźny widnokrąg, poczem zwróciwszy się do księdza podkanclerzego Mikołaja, zapytał:

— Jakiego dziś patrona?

— Dzień Rozesłania Apostołów — odrzekł ksiądz podkanclerzy.

A król westchnął:

— Więc dzień Apostołów będzie ostatnim życia dla wielu tysięcy chrześcijan, którzy się dziś na tem polu zetrą.

I wskazał ręką szeroką, pustą równinę, na której w pośrodku tylko, w połowie drogi do

Tannenberga, wznosiło się kilka odwiecznych dębów.

Tymczasem jednak przyprowadzono mu konia, a w oddali ukazało się sześćdziesiąt kopii, które Zyndram z Maszkowic przysyłał, jako straż osoby królewskiej.

* * *

Straży królewskiej przywodził Aleksander, młodszy syn księcia na Płocku, a brat tego Ziemowita, który szczególną «przemyślnością» do wojny obdarzon, zasiadał w radzie wojskowej. Drugie po nim miejsce trzymał litewski synowiec monarchy, Zygmunt Korybut, młodzian wielkich nadziei i wielkich przeznaczeń, ale niespokojnego ducha. Między rycerstwem najsłynniejsi byli: Jaśko Mążyk z Dąbrowy, prawdziwy olbrzym, postawą niemal Paszkowi z Biskupic równy, a siłą niewiele samemu Zawiszy Czarnemu ustępujący, Żóława, baron czeski, drobny i chudy, ale sprawności niezmiernej, słynny na dworze czeskim i węgierskim z pojedynków, w których kilkunastu rycerzy rakuskich rozciągnął, i drugi Czech, Sokół, łucznik nad łuczniki, i Wielkopolanin Bieniasz Wierusz, i Piotr Medyolański, i bojarzyn litewski Sienko z Pohosta, którego ojciec Piotr jednej chorągwi smoleńskiej przywodził, i krewny króla kniaź

Fieduszko, i kniaź Jamont, a zresztą sami polscy rycerze, «wybrani z tysięców», którzy wszyscy zaprzysięgli do ostatniej krwi króla bronić i od wszelkiej wojennej przygody go osłaniać. Zaś bezpośrednio przy osobie królewskiej znajdował się ksiądz podkanclerzy Mikołaj i sekretarz Zbyszko z Oleśnicy, młodzieńczyk uczony, biegły w sztuce czytania i w piśmie, ale zarazem siłą do dzika podobny. Nad zbroją pana czuwali trzej giermkowie: Czajka z Nowego Dworu, Mikołaj z Morawicy i Daniłko Rusin, który dzierżył łuk i sajdak królewski. Dopełniało orszaku kilkunastu dworskich, którzy na ścigłych biegunach mieli z rozkazami do wojsk latać.

Giermkowie przybrali pana w świetną błyszczącą zbroję, poczem przywiedli mu również «wybranego z tysięców» cisawego rumaka, który parskał nozdrzami na dobrą wróżbę z pod stalowego naczółka i, napełniając rżeniem powietrze, przysiadał nieco, jak ptak, który się chce zerwać do lotu. Król, gdy uczuł pod sobą konia, a w ręku kopię, zmienił się nagle. Smutek znikł z oblicza, małe czarne oczy poczęły błyskać, a na twarzy zjawiły się rumieńce; lecz była to chwila tylko, bo gdy ksiądz podkanclerzy począł go żegnać krzyżem, spoważniał znów i pochylił z pokorą przybraną w srebrzysty hełm głowę.

* * *

Tymczasem armia niemiecka, zstępując zwolna z wyniosłej równiny, minęła Grunwald, minęła Tannenberg i zatrzymała się w zupełnym bojowym szyku w połowie pola. Z dołu, z polskiego obozu widać było doskonale groźną ławę zakutych w żelazne zbroje koni i rycerzy. Bystrzejsze oczy odróżniały nawet dokładnie, o ile wiatr, targający chorągwie, na to pozwalał, rozmaite znaki na nich wyszyte, jako: krzyże, orły, gryfy, miecze, hełmy, baranki, głowy żubrów i niedźwiedzi.

Stary Maćko i Zbyszko, którzy, wojując poprzednio z Krzyżakami, znali ich wojska i herby, pokazywali swoim Sieradzanom dwie chorągwie mistrza, w których służył sam kwiat i dobór rycerstwa, i walną chorągiew całego Zakonu, której przewodził Fryderyk von Wallenrod, i potężną świętego Jerzego z krzyżem czerwonym w polu białem i wiele innych zakonnych. Nieznane im były jeno znaki różnych gości zagranicznych, których tysiące nadciągnęły ze wszystkich stron świata: z Rakuz, z Bawaryi, ze Szwabii, ze Szwajcaryi, ze słynnej z rycerstwa Burgundyi, z bogatej Flandryi, ze słonecznej Francyi, o której rycerzach powiadał ongi Maćko, że nawet leżąc już na ziemi, jeszcze waleczne słowa mówią, z zamorskiej Anglii, ojczyzny celnych łuczników, i nawet z dalekiej Hiszpanii, gdzie

wśród ustawicznych walk z Saracenami rozkwitło nad wszystkie inne kraje męstwo i honor.

A zaś onej twardej szlachcie z pod Sieradza, z Koniecpola, z Krześni, z Bogdańca, z Rogowa i Brzozowej, jak również z innych ziem polskich, poczęła burzyć się krew w żyłach na myśl, że za chwilę przyjdzie im się związać z Niemcami i całem tem świetnem rycerstwem. Twarze starszych stały się poważne i surowe, ci bowiem wiedzieli, jak ciężka i okrutna będzie to praca. Atoli serca młodych poczęły skowytać, tak właśnie, jak skowyczą trzymane na uwięzi psy myśliwe, gdy zdala dzikiego zwierza ujrzą. Więc niektórzy, ściskając silniej w garściach kopie, rękojeście mieczów i toporzyska, osadzali na zadach konie, jakby do skoku, inni poczęli oddychać szybko, jakby stało im się nagle za ciasno w pancerzach. Doświadczeńsi jednak wojownicy uspokajali ich, mówiąc: «Nie minie was, a starczy dla każdego, daj Bóg, by nie było nadto».

Lecz Krzyżacy, spoglądając z góry na lesistą nizinę, widzieli na krawędzi boru tylko kilkanaście polskich chorągwi i wcale nie byli pewni, czy to jest cała armia królewska. Wprawdzie na lewo, koło jeziora widać było także szare gromady wojowników, a w kuszczach błyszczało coś nakształt grotów sulic, to jest lekkich dzid, których używali Litwini. Mógł to być jednak

tylko znaczny podjazd polski. Dopiero zbiegowie ze zburzonego Gilgenburga, których kilkunastu sprowadzono przed mistrza, zaświadczyli, iż naprzeciw stoją wszystkie wojska polsko-litewskie.

Lecz próżno mówili o ich potędze. Mistrz Ulrych nie chciał im wierzyć, gdyż od początku tej wojny wierzył tylko w to, co było mu na rękę i wróżyło niechybne zwycięstwo. Zwiadów i gońców nie rozsyłał, rozumiejąc, że i bez tego wszystkiego musi przyjść do walnej bitwy, a bitwa owa nie może zakończyć się inaczej, jeno straszliwą klęską nieprzyjaciela. Dufny w siłę, jakiej żaden z mistrzów nie wyprowadził dotąd w pole, lekceważył też przeciwnika, a gdy komtur gniewski, który na swoją rękę czynił wywiady, przedstawiał mu, że jednak wojska Jagiełły są liczniejsze, odpowiadał:

— Jakie tam wojska! Jeno z Polaki przyjdzie się nieco wysilić, a reszta, choćby ich było i najwięcej, pośledni to lud, lepszy do łyżki, niż do oręża.

I dążąc wszelkiemi siłami do bitwy, zapłonął teraz wielką radością, gdy nagle znalazł się przed nieprzyjacielem i gdy widok walnej chorągwi całego królestwa, której czerwień spostrzeżono na ciemnem tle boru, nie pozwalał już dłużej wątpić, że tkwi przed nim główna armia.

Ale na stojących pod lasem i w lesie Polaków nijak było Niemcom uderzać, gdyż rycerstwo straszne tylko było w czystem polu, nie lubiło zaś i nie umiało walczyć w gęstwinie drzewnej.

Zebrano się więc na krótką naradę przy boku mistrza, jakim sposobem wywabić z zarośli nieprzyjaciela.

— Na świętego Jerzego! — zawołał mistrz. — Dwie mile ujechaliśmy nie spoczywając i upał doskwiera, a ciała oblewają nam się potem pod zbroją. Nie będziem-że tu czekali, póki nieprzyjacielowi nie spodoba się wystąpić w pole.

A na to hrabia Wende, mąż poważny wiekiem i rozumem, rzekł:

— Zaiste, już wyśmiewano tutaj moje słowa i wyśmiewali je tacy, którzy bogdaj że umkną z tego pola, na którem ja polegnę — i tu spojrzał na Wernera von Tetlingen — ale wżdy powiem, co mi sumienie i miłość do Zakonu nakazuje. Nie serca brak Polakom, jeno, jako wiem, król do ostatka spodziewa się wysłanników pokoju.

Werner von Tetlingen nie odrzekł nic, tylko parsknął wzgardliwym śmiechem, ale i mistrzowi niemiłe były słowa Wendego, więc ozwał się:

— Zali czas myśleć teraz o pokoju! Nad inną sprawą mamy radzić.

— Czas zawsze na dzieło Boże — odrzekł von Wende.

Lecz okrutny komtur człuchowski Henryk, który zaprzysiągł, że każe nosić przed sobą dwa nagie miecze, dopóki ich w polskiej krwi nie ubroczy, zwrócił do mistrza swe tłuste, spotniałe oblicze i zakrzyknął z gniewem okrutnym:

— Milsza mi śmierć od hańby i choćby sam jeden, tymi mieczami na całe wojsko polskie uderzę!

Ulrych zmarszczył nieco brwi:

— Przeciw posłuszeństwu mówisz — rzekł.

A potem do komturów:

— Radźcie jeno o tem, jak nieprzyjaciela z boru wyciągnąć.

Więc różni różnie radzili, aż wreszcie podobało się i komturom i przedniejszym gościom rycerskim zdanie Gersdorfa, aby wysłać dwóch heroldów do króla z oznajmieniem, że mistrz przysyła mu dwa miecze i wyzywa Polaków na bój śmiertelny, jeśli zaś mało mu pola, to ustąpi nieco z wojskiem, aby im go przyczynić.

* * *

Król zjechał właśnie z nadbrzeża jeziora i udał się na lewe skrzydło do polskich chorągwi, gdzie miał pasować całą gromadę ryce-

rzy, gdy nagle dano mu znać, iż dwóch heroldów zjeżdża od krzyżackiego wojska.

Serce Władysława zabiło nadzieją:

— Nuże ze sprawiedliwym pokojem jadą!

— Daj Bóg! — odrzekli duchowni.

Król posłał po Witolda, a tymczasem heroldowie, nie spiesząc się, zbliżali się do obozu.

W jasnem świetle słońca widziano ich doskonale, podjeżdżających na ogromnych, pokrytych kropierzami koniach bojowych: jeden miał na tarczy cesarskiego czarnego orła na złotem polu, drugi, który był heroldem księcia szczecińskiego, gryfa na białem polu. Szeregi rozstąpiły się przed nimi, oni zaś, zsiadłszy z koni, stanęli po chwili przed wielkim królem i, skłoniwszy nieco głowy dla okazania mu czci, tak odprawili swoje poselstwo:

— Mistrz Ulrych — rzekł pierwszy herold — wyzywa twój majestat, panie, i księcia Witolda na bitwę śmiertelną i aby męstwo wasze, którego wam widać brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze.

To rzekłszy, złożył miecze u stóp królewskich. Jaśko Mążyk z Dąbrowy wytłómaczył jego słowa królowi, ale ledwie skończył, wysunął się drugi herold, z gryfem na tarczy i tak przemówił:

— Mistrz Ulrych kazał wam też oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się

z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w zaroślach.

Jaśko Mążyk znów przełożył jego słowa i nastała cisza, tylko w orszaku królewskim rycerze poczęli zgrzytać z cicha zębami na takie zuchwalstwo i zniewagę.

Ostatnie nadzieje Jagiełły rozwiały się, jak dym. Spodziewał się poselstwa zgody i pokoju, a tymczasem było to poselstwo pychy i wojny.

Więc wzniósłszy załzawione oczy do góry, tak odrzekł:

— Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmuję, jako wróżbę zwycięstwa, którą mi sam Bóg przez wasze ręce zsyła. A pole bitwy On także wyznaczy, do którego sprawiedliwości ninie się odwołuję, skargę na moją krzywdę i waszą nieprawość a pychę zanosząc, amen.

I dwie wielkie łzy spłynęły mu po ogorzałych policzkach.

Tymczasem głosy rycerskie w orszaku poczęły wołać:

— Cofają się Niemce. Dają pole!

Heroldowie odeszli i po chwili widziano ich znowu jadących pod górę na swych ogromnych koniach i błyszczących w świetle słonecznem od jedwabiów, które po wierzchu zbroi nosili.

* * *

Wojska polskie wysunęły się z lasu i zarośli w składnym szyku bojowym. W przodku stał hufiec tak zwany «czelny», złożony z najstraszniejszych rycerzy, za nim walny, a za walnym piechoty i lud najemny. Utworzyły się przez to między hufcami dwie długie ulice, po których przelatywał Zyndram z Maszkowic i Witold, ten ostatni bez hełmu na głowie, w świetnej zbroi, podobny do złowrogiej gwiazdy lub do gnanego wichrem płomienia.

Rycerze nabierali tchu w piersi i osadzali się mocniej w siodłach.

Bitwa miała tuż, tuż nastąpić.

* * *

Mistrz spoglądał tymczasem na wojska królewskie, które wysuwały się z boru.

Patrzał długo na ich ogrom, na rozpostarte, jakby u olbrzymiego ptaka, skrzydła, na poruszaną wiatrem tęczę chorągwi i nagle serce mu się ścisnęło jakiemś nieznanem, strasznem uczuciem. Może ujrzał oczyma duszy stosy trupów i rzeki krwi. Nie lękając się ludzi, może zląkł się Boga, trzymającego już tam na wysokościach niebios szale zwycięstwa.

Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, jaki to okropny nastał dzień i po raz pierwszy uczuł,

jaką niezmierną odpowiedzialność wziął na swoje ramiona.

Więc twarz mu pobladła, wargi poczęły drżeć, a z oczu puściły się obfite łzy. Komturowie ze zdziwieniem spoglądali na swego wodza.

— Co wam jest, panie? — zapytał hrabia Wende.

— Zaiste stosowna do łez pora! — ozwał się okrutny Henryk, komtur człuchowski.

A wielki komtur, Kuno Lichtenstein, wydął wargi i rzekł:

— Otwarcie naganiam ci to, mistrzu, bo ci teraz podnosić serca rycerzy, nie zaś osłabiać przystoi. Zaprawdę, nie takiegośmy cię przedtem widywali.

Lecz mistrzowi wbrew wszelkim wysiłkom spływały tak ciągle łzy na czarną brodę, jakby w nim płakał kto inny.

Wreszcie pohamował się nieco i, zwróciwszy surowe oczy na komturów, zawołał:

— Do chorągwi!

Więc skoczyli każdy do swojej, bo bardzo potężnie przemówił, a on wyciągnął rękę do giermka i rzekł:

— Daj mi hełm.

* * *

Już serca w obu wojskach biły jak młoty, ale trąby nie dawały jeszcze znaku do boju.

Nastała cięższa może od samej bitwy chwila oczekiwania. Na polu między Niemcami a armią królewską wznosiło się od strony Tannenberga kilka odwiecznych dębów, na które powłazili chłopi miejscowi, aby patrzeć na zapasy tych wojsk tak olbrzymich, jakich od niepamiętnych czasów świat nie widział. Lecz prócz tej jednej kępy całe to pole było puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne. Chodził tylko po niem wiatr, a nad niem unosiła się śmierć. Oczy rycerzy zwracały się mimowoli na tę złowrogą, milczącą równinę. Przelatujące po niebie chmury przesłaniały od czasu do czasu słońce, a wówczas padał na nią mrok śmiertelny.

Wtem wstał wicher. Zaszumiał w lesie, oberwał tysiące liści, wypadł na pole, chwycił suche źdźbła traw, wzbił tumany kurzawy i poniósł je w oczy wojsk krzyżackich. W tej również chwili wstrząsnął powietrzem przeraźliwy głos rogów, krzywuł, piszczałek i całe skrzydło litewskie zerwało się nakształt niezmiernego stada ptactwa do lotu. Poszli od razu wedle zwyczaju w skok. Konie, wyciągnąwszy szyje i potuliwszy uszy, rwały ze wszystkich sił przed siebie; jeźdźcy, wymachując mieczami i sulicami, lecieli z krzykiem okropnym przeciw lewemu skrzydłu Krzyżaków.

Mistrz właśnie znajdował się przy niem. Wzruszenie jego już przeszło, a z oczu szły mu zamiast łez skry. Ujrzawszy więc rozpędzoną ćmę litewską, zwrócił się do Frydrycha Wallenroda, który na tej stronie dowodził, i rzekł:

— Witold pierwszy wystąpił. Poczynajcie-że i wy w imię Boże!

I skinieniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa.

— Gott mit uns! — zakrzyknął Wallenrod.

Chorągwie, zniżywszy kopie, poczęły z początku iść krokiem. Lecz równie, jak skała stoczona z góry, spadając, coraz większego pędu nabiera, tak i one: z kroku przeszły w rysią, potem w cwał i szły straszne, niepohamowane, jako lawina, która musi zetrzeć i zdruzgotać wszystko przed sobą.

Ziemia jęczała i gięła się pod niemi.

* * *

Bitwa miała lada chwilę rozciągnąć się i rozpalić na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń św. Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos, do grzmotu niebieskiego podobny:

«Boga Rodzica, Dziewica,
«Bogiem sławiena Marya!
«U Twego Syna, Gospodzina,
«Matko zwolena, Marya,
«Ziści nam spust winam!...
«Kyrie eleison!...

I wraz moc zstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrgały kopie w rękach rycerzy, zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie w boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać i jakby powtarzać jeziorom i łęgom i całej ziemi, jak długa i szeroka:

«Ziści nam spust winam!...
«Kyrie eleison!...

A oni śpiewali dalej:

«Twego dziela[1]) Krzciciela, Bożycze,
«Usłysz głosy, napełni myśli człowiecze,
«Słysz modlitwę, jąż nosimy,
«O dać raczy, jegoż prosimy:
«Po żywocie rajski przebyt,
«A na świecie zbożny pobyt.
«Kyrie eleison!

[1]) = dla, t. j. przez wzgląd na...

Echo powtórzyło w odpowiedzi: «Kyrie Eleisooon!», a tymczasem na prawem skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej.

Łoskot, kwik koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zbrakło tchu, i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było usłyszeć grzmiące głosy:

«Adamie, ty Boży kmieciu,
«Ty siedzisz u Boga w wiecu,
«Domieści nas, swe dzieci,
«Gdzie królują anieli!
«Tam radość,
«Tam miłość,
«Tam widzenie Tworca
«Anielskie, bez końca...
«Kyrie eleison...

I znów runęło echo po borze: «Kyrie Eleisooon!» Krzyki na prawem skrzydle wzmogły się jeszcze, lecz nikt nie mógł ni wiedzieć, ni rozeznać, co się tam dzieje, albowiem mistrz Ulrych, który patrzał z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków.

A zaś do polskiego hufca «czelnego», w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zyndram z Maszkowic i ukazawszy

ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, za krzyknął tak donośnie, że aż konie poprzysiadały w pierwszym szeregu na zadach:

— W nich! Bij!

Więc rycerze, pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnąwszy przed się włócznie, ruszyli.

* * *

Lecz Litwa ugięła się pod straszliwą nawałą Niemców. Pierwsze szeregi, najlepiej zbrojne, złożone z możniejszych bojarów, padły mostem na ziemię. Następne zwarły się ze wściekłością z Krzyżactwem, lecz żadne męstwo, żadna wytrwałość, żadna moc ludzka nie mogła ich od zguby i klęski uchronić. I jakże mogło być inaczej, gdy z jednej strony walczyło rycerstwo, całkiem zakute w stalowe zbroje i na koniach stalą osłonionych, z drugiej lud, rosły wprawdzie i silny, ale na drobnych konikach i skórami jeno okryty?... Próżno też szukał uporny Litwin, jak do skóry niemieckiej się dobrać. Sulice, szable, ostrza oszczepów, pałki nasadzane krzemieniem lub gwoździami odbijały się tak o żelazne blachy, jak o skałę, lub jak o mury zamkowe. Ciężar ludzi i koni gniótł nieszczęsne Witoldowe zastępy, cięły ich miecze i topory, bodły i kruszyły kości berdysze, tratowały kopyta końskie. Kniaź Witold daremnie ciskał

w tę paszczę śmierci coraz nowe watahy, daremny był upór, na nic zaciekłość, na nic pogarda śmierci i na nic rzeki krwi! Pierzchło naprzód Tatarstwo, Besaraby, Wołochy, a wkrótce pękła ściana litewska i dziki popłoch ogarnął wszystkich wojowników.

Większa część wojsk pierzchła w stronę jeziora Lubiecz i za nią pognały główne siły niemieckie, czyniąc kośbę tak straszną, że całe pobrzeże pokryło się trupami.

Druga atoli część wojsk Witoldowych, mniejsza, w której były trzy pułki smoleńskie, cofała się ku skrzydłu polskiemu, parta przez sześć chorągwi Niemców, a następnie i przez te, które wracały z pogoni. Lecz lepiej zbrojni Smoleńszczanie skuteczniejszy stawiali opór. Bitwa zmieniła się tu w rzeź. Potoki krwi okupowały każdy krok, każdą niemal piędź ziemi. Jeden z pułków smoleńskich wycięto niemal co do nogi. Dwa inne broniły się z rozpaczą i wściekłością. Lecz zwycięskich Niemców nic już nie mogło powstrzymać. Niektóre ich chorągwie ogarnął jakby szał bojowy. Pojedyńczy rycerze, bodąc ostrogami i wspinając rumaki, rzucali się naoślep ze wzniesionym toporem lub mieczem w największą gęstwinę nieprzyjaciół. Cięcia ich mieczów i berdyszów stały się niemal nadludzkie, cała zaś ława, prąc, tratując i miażdżąc

konie i rycerzy smoleńskich, przyszła nakoniec w bok czelnemu i walnemu hufcowi polskiemu, albowiem oba od godziny już przeszło zmagały się z Niemcami, którym Kuno Lichtenstein przywodził.

* * *

Nie poszło tu tak łatwo Kunonowi, gdyż większa była równość broni i koni, a jednakie ćwiczenie rycerskie. Wsparły nawet Niemców «drzewa» polskie i odrzuciły ich w tył, zwłaszcza, że pierwsze uderzyły w nich trzy straszne chorągwie: krakowska, gończa pod Jędrkiem z Brochocic i nadworna, której Powała z Taczewa przewodził. Jednakże bitwa rozgorzała najprzeraźliwsza dopiero wówczas, gdy po strzaskaniu kopii chwycono za miecze i topory. Tarcza uderzała wówczas o tarcz, mąż zwierał się z mężem, padały konie, przewracały się znaki, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów helmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo, walili się z siodeł nakształt podciętych sosen witezie. Ci z rycerzy krzyżackich, którzy już pod Wilnem zaznali bitew z Polakami, wiedzieli, jaki to «nieużyty» i «natarczywy» jest ten lud, lecz nowaków i gości zagranicznych ogarnęło zrazu podobne do strachu zdumienie. Niejeden też wstrzymywał mi-

mowoli konia, spoglądał przed się niepewnie i nim się namyślił, co czynić, ginął pod ciosem polskiej prawicy. I równie jak grad sypie się niemiłosiernie z miedzianej chmury na łan żyta, tak gęsto sypały się ciosy okrutne i biły miecze, biły oksze, biły topory, biły bez tchu i miłosierdzia, dźwięczały, jak w kuźniach, żelazne blachy, śmierć gasiła, niby wicher, żywoty, jęki rwały się z piersi, gasły oczy, a zbielałe młodzieńcze głowy pogrążały się w noc wiekuistą.

Leciały w górę skry, skrzesane żelazem, złamki drzewców, proporce, pióra strusie i pawie. Kopyta rumaków osuwały się po krwawych, leżących na ziemi pancerzach i trupach końskich. Kto padł ranny, tego miażdżyły podkowy.

Lecz żaden jeszcze nie padł z przedniejszych rycerzy polskich i szli przed się w zgiełku i ciasnocie, wykrzykując imiona swych patronów, lub zawołania rodowe, jak idzie ogień po suchym stepie, który pożera krze i trawy. Pierwszy tam Lis z Targowiska porwał mężnego komtura z Osterody Gamrata, który, straciwszy tarczę, zwinął w kłąb swój biały płaszcz koło ramienia i płaszczem się od ciosów zasłaniał.

Ostrzem miecza przeciął Lis płaszcz i naramiennik, odwalił od pachy ramię, drugiem zaś

pchnięciem przebił brzuch, aż ostrze w kość pacierzową zgrzytnęło. Krzyknęli z trwogi na widok śmierci wodza ludzie z Osterody, lecz Lis rzucił się między nich, jak orzeł między żórawie, a gdy Staszko z Charbimowic i Domarat z Kobylan skoczyli mu na pomoc, poczęli ich we trzech łuskać okropnie, tak, jak niedźwiedzie łuszczą strąki, gdy się na pole, zasiane młodym grochem, dostaną.

Tamże Paszko Złodziej z Biskupic zabił sławnego brata Kunca Adelsbacha. Kunc, gdy ujrzał przed sobą wielkoluda z krwawym toporem w dłoni, na którym wraz z krwią przylepły kudły ludzkie, zląkł się w sercu i chciał oddać w niewolę. Ale Paszko, nie dosłyszawszy go wśród wrzawy, podniósł się w strzemionach i rozciął mu głowę wraz ze stalowym hełmem, jakby ktoś rozciął jabłko na dwoje. Wraz potem zgasił Locha z Meklemburgii, i Klingensteina i Szwaba Helmsdorfa z możnego hrabiowskiego rodu, i Limpacha z pod Moguncyi, i Nachterwitza też z Moguncyi, aż wreszcie poczęli się cofać przed nim przerażeni Niemcy w lewo i w prawo, on zaś bił w nich, jak w walącą się ścianę i co chwila widziano go, jak wznosił się do cięcia na siodle, poczem widziano błysk topora i hełm niemiecki, zapadający się w dół między konie.

Tamże potężny Jędrzej z Brochocic, złamawszy miecz na głowie rycerza, który miał sowę na tarczy i przyłbicę kształtu sowiej głowy wykutą, chwycił go za ramię, skruszył je i, wydarłszy mu brzeszczot, zaraz go nim życia pozbawił. On również młodego rycerza Dynheima wziął w niewolę, którego widząc bez hełmu, pożałował zabijać, gdyż ów prawie był dzieckiem jeszcze i dziecinnemi nań spoglądał oczyma. Rzucił go tedy Andrzej giermkom swoim, nie odgadując, że zięcia sobie bierze, albowiem rycerzyk ten córkę jego wziął później za żonę i na zawsze w Polsce pozostał.

Natarli atoli teraz ze wściekłością Niemcy, chcąc odbić młodego Dynheima, który z możnego rodu grafów nadreńskich pochodził, lecz przedchorągiewni rycerze: Sumik z Nadbroża, i dwaj bracia z Płomykowa, i Dobko Ochwia, i Zych Pikna osadzili ich na miejscu, jak lew osadza byka i odepchnęli ku chorągwi świętego Jerzego, szerząc wśród nich zgubę i zniszczenie.

Zaś z rycerskimi gośćmi starła się chorągiew królewska nadworna, której Ciołek z Żelichowa przywodził. Tam Powała z Taczewa, siłę nadludzką mający, obalał ludzi i konie, kruszył żelazne hełmy, jak skorupy jaj, bił sam jeden w całe gromady, a obok niego szli Leszko z Goraja, drugi Powała z Wyhucza i Mścisław ze

Skrzynna, i dwóch Czechów: Sokol i Zbisławek. Długo toczyła się tu walka, gdyż na tę jedną chorągiew uderzyły trzy niemieckie, lecz gdy dwudziesta siódma Jaśka z Tarnowa przyszła jej w pomoc, siły zrównały się mniej więcej i odrzucono Niemców prawie na pół strzelania z kuszy od miejsca, w którem nastąpiło pierwsze spotkanie.

Lecz jeszcze dalej odrzuciła ich wielka krakowska chorągiew, której sam Zyndram przywodził, a na czele, między przedchorągiewnymi, szedł najstraszniejszy ze wszystkich Polaków: Zawisza Czarny, herbu Sulima. W pobok walczyli brat jego Farurej i Floryan Jelitczyk z Korytnicy, i Skarbek z Gór, i właśnie ów sławny Lis z Targowiska, i Paszko Złodziej, i Jan Nałęcz, i Stach z Charbimowic. Pod okropną ręką Zawiszy ginęli bitni mężowie, jakby w tej czarnej zbroi sama śmierć szła im naprzeciw, on zaś walczył z namarszczoną brwią i ściśniętemi nozdrzami, spokojny, uważny, jakby zwykłą odbywał robotę: czasem równo poruszał tarczą, odbijał cios, lecz każdemu błyskowi jego miecza odpowiadał krzyk straszny porażonego męża, a on nie oglądał się nawet i szedł pracując naprzód, jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada.

Poznańska chorągiew, mająca w znaku orła bez korony, walczyła też na śmierć i życie,

a arcybiskupia i trzy mazowieckie szły z nią w zawody. Ale i wszystkie inne przesadzały się wzajem w zawziętości i natarczywem męstwie. W sieradzkiej młody Zbyszko z Bogdańca rzucał się, jak dzik, w najgęstsze tłumy, zaś przy boku jego szedł stary straszny Maćko, walcząc rozważnie, jak walczy wilk, który inaczej, niż na śmierć, nie ukąsi.

Szukał on wszędy oczyma Kunona Lichtensteina, ale nie mogąc go w tłoku dostrzedz, upatrywał tymczasem innych, takich, którzy świetniejsze mieli na sobie stroje i nieszczęsny był każdy rycerz, któremu się z nim spotkać przyszło. Niedaleko od obu rycerzy Bogdanieckich ciskał się nieznośnie złowrogi Cztan z Rogowa. Po pierwszem spotkaniu rozbito mu helm, więc walczył teraz z gołą głową, strasząc swą zakrwawioną włochatą twarzą Niemców, którym się zdało, że nie człowieka, ale jakąś poczwarę leśną mają przed sobą.

Jednakże setki, a potem tysiące rycerzy zaległy z obu stron ziemię, aż wreszcie pod razami zaciekłych Polaków poczęła się chwiać niemiecka nawała, gdy wtem zaszło coś takiego, co losy całej bitwy mogło w jednej chwili przeważyć.

Oto, wracając z pogoni za Litwą, rozgorzałe i upojone zwycięstwem chorągwie niemieckie uderzyły w bok polskiego skrzydła.

Sądząc, że wszystkie wojska królewskie już rozbite i bitwa stanowczo wygrana, wracały one w wielkich bezładnych gromadach, z krzykiem i śpiewaniem, gdy nagle ujrzały przed sobą srogą rzeź i Polaków prawie już zwycięskich, ogarniających zastępy niemieckie.

Więc Krzyżacy, zniżając głowy, spoglądali ze zdumieniem przez kraty przyłbic na to, co się dzieje, a potem, jak który stał, wbijał koniowi ostrogi w boki i puszczał się w zamęt bojowy.

I tak gromada uderzała po gromadzie, aż wkrótce tysiące ich zwaliły się na znużone walką chorągwie polskie. Krzyknęli Niemcy radośnie, widząc przybywającą pomoc, i z nowym zapałem poczęli bić Polaków. Okropna bitwa zawrzała na całej linii, ziemia spłynęła potokami krwi, zachmurzyło się niebo i odezwały się głuche grzmoty, jakby sam Bóg chciał mieszać się między walczących.

Lecz zwycięstwo poczęło chylić się ku Niemcom... Już, już wszczynała się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalałe w boju zastępy krzyżackie poczęły jednym głosem śpiewać pieśń tryumfu:

«Christ ist erstanden!...

. . . . . .

A wtem stało się coś jeszcze okropniejszego.

Oto jeden leżący na ziemi Krzyżak rozpruł nożem brzuch konia, na którym siedział Marcin z Wrocimowic, trzymający wielką, świętą dla wszystkich wojsk chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwalili się nagle, a wraz z nimi zachwiała się i padła chorągiew.

W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęło się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarnął teraz Polaków, że przychodzi czas klęski, mordu i rzezi, że już uciekających tylko przyjdzie im ścigać i wycinać.

Ale oto właśnie czekał ich straszny i krwawy zawód.

Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą, jak jeden mąż, wojska polskie na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczy był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się jak lwy rozżarte ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armii i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi. Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigały ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dziki wrzask wyrzynanych mężów zlały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępieńcy odezwali się nagle z głębi piekła.

Wstała kurzawa, a z niej wypadły tylko oślepłe z przerażenia konie, bez jeźdźców, z krwawemi oczyma i rozwianą dziko grzywą.

Lecz trwało to krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął i rozkwitła wspaniale, jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Całe wojsko powitało ją okrzykiem tryumfu i uderzyło z taką zapamiętałością w Niemców, jakby każdej chorągwi przybyło we dwójnasób sił i żołnierzy.

A Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jakiej piersiom trzeba dla złapania oddechu, parci ze wszystkich stron, naciskani, rażeni nieubłaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug, poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i ówdzie ozwały się głosy o litość. Tu i ówdzie wypadał ze skrzętu jakiś zagraniczny rycerz z twarzą zbielałą ze strachu i zdumienia i uciekał w zapamiętaniu, gdzie go niósł niemniej przerażony rumak. Większość białych płaszczów, które na zbrojach nosili bracia zakonni, leżała już na ziemi.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca przywódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że cały

ich ratunek tylko w mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś, patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła, i ruszył swe żelazne hufce tak, jak wicher porusza ciężką, niosącą klęskę chmurę gradową.

* * *

Lecz wcześniej jeszcze przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku czuwający nad wszystkiem i baczny na przebieg bitwy Zyndram z Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zaciężnych Czechów. Jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz główne siły składały pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych ubogich włodyków, z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na drągach.

— Gotuj się! gotuj! — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując, jak błyskawica, wzdłuż szeregów.

— Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przywódcy.

Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i, przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszanym głosem do ucha, a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód! ławą! równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zdro waś-Ma-ry-ja-ła-skiś-peł-na-Panz To-bą!!!

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy, kmiecie z Małopolski i Wielkopolski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa, i Mazury z pod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i roz-

błysło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy, jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbiły się aż ku niebiosom.

* * *

Król, który z wyniosłego miejsca zawiadował całą bitwą, rozsyłał pachołków i aż ochrypł od dawania rozkazów, gdy ujrzał wreszcie, że już wszystkie wojska pracują, począł i sam rwać się do boju.

Nie puszczali go dworzanie, bojąc się o świętą osobę pańską. Żółława chwycił za cugle konia i choć król uderzył go włócznią po ręku, nie puścił. Inni zastąpili też drogę, prosząc, błagając i przedstawiając, że i tak losów bitwy nie przeważą.

A tymczasem największe niebezpieczeństwo zawisło nagle nad królem i nad całym jego orszakiem.

Oto mistrz, idąc za przykładem tych, którzy wrócili po rozgromie Litwy, i chcąc także

zajechać z boku Polakom, zatoczył koło, skutkiem czego jego szesnaście wyborowych chorągwi musiało przechodzić właśnie nieopodal wzgórza, na którem stał Władysław Jagiełło.

Spostrzeżono wraz niebezpieczeństwo, ale nie było czasu się cofać. Zwinięto tylko znak królewski, a jednocześnie pisarz królewski, Zbigniew z Oleśnicy, skoczył, co siły w koniu, do najbliższej chorągwi, która gotowała się właśnie na przyjęcie nieprzyjaciela, a której rycerz Mikołaj Kiełbasa przywodził.

— Król w obieży. Na pomoc! — zawołał Zbigniew.

Lecz Kiełbasa, straciwszy poprzednio hełm, zerwał całą mokrą od potu i pokrwawioną myckę z głowy i, pokazując ją gońcowi, zakrzyknął z gniewem okrutnym:

— Patrz, jeśli tu próżnujem! Szalony! Zali nie widzisz, że na nas idzie ta chmura i że właśnie naprowadzilibyśmy ją na króla, zaczem ruszaj precz, bo cię tu mieczem przebodę.

I niepomny, z kim mówi, zziajany, uniesion gniewem, zmierzył się istotnie na gońca, ów zaś, widząc, z kim sprawa, a co większa, że stary wojownik ma słuszność, skoczył napowrót do króla i powtórzył mu, co usłyszał.

Więc straż królewska murem wysunęła się naprzód, aby pana piersiami zasłonić. Tym ra-

zem jednak król nie dał się powstrzymać i stanął w pierwszym szeregu. Lecz ledwie się ustawili, chorągwie niemieckie były już tak blizko, że herby na tarczach można było doskonale odróżnić. Widok ich dreszczem mógł przejąć najodważniejsze serca, był to bowiem sam kwiat i wybór rycerstwa. Przybrani w świetne zbroje, na ogromnych, jak tury, koniach, nie uznojeni w boju, w którym dotychczas nie brali udziału, wypoczęci, szli jak huragan z tętentem, z hukiem, z szumem chorągwi i chorągiewek, a sam wielki mistrz leciał przed nimi w białym, szerokim płaszczu, który, rozpuszczony na wiatr, wyglądał jak olbrzymie skrzydła orła.

Mistrz minął już orszak królewski i biegł ku głównej bitwie, bo co mu tam znaczyła jakaś garstka rycerzy stojących na uboczu, między którą nie domyślał się i nie rozpoznał króla! Ale z pod jednej chorągwi oderwał się olbrzymi Niemiec i czy to poznawszy Jagiełłę, czy też znęcony srebrzystą zbroją królewską, czy wreszcie chcąc popisać się odwagą rycerską, schylił głowę, wyciągnął kopię i skoczył wprost na króla.

Król zaś spiął ostrogami konia i nim go zdołano zatrzymać, skoczył także ku niemu. I byliby się niechybnie starli śmiertelnie, gdyby nie ten sam Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz

królewski, zarówno biegły w łacinie, jak i w rycerskiem rzemiośle. Ten mając złomek kopii w ręku, zajechał Niemca z boku i grzmotnąwszy go w łeb, skruszył mu hełm i zwalił na ziemię. «W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabić go raczył».

Tak zginął sławny rycerz niemiecki, Dypold Kikieritz von Dieber. Konia jego pochwycił kniaź Jamont, a on sam leżał śmiertelnie porażon w swej białej jace na stalowej zbroi i w pozłocistym pasie. Oczy zaszły mu bielmem, lecz nogi kopały jeszcze czas jakiś ziemię, póki największa ludzka uspokoicielka, śmierć, nie pokryła mu nocą głowy i nie uspokoiła go na zawsze.

Skoczyli rycerze z pod chełmińskiej chorągwi, chcąc pomścić śmierć towarzysza, lecz sam mistrz zabiegł im drogę i krzycząc: «Herum! herum!» — zaganiał ich tam, gdzie miały rozstrzygnąć się losy tego krwawego dnia, to jest do głównej bitwy.

I znów zdarzyła się rzecz dziwna. Oto najbliżej od pola stojący Mikołaj Kiełbasa poznał wprawdzie nieprzyjaciół, ale w kurzawie nie poznały ich inne polskie chorągwie i myśląc, że to Litwa wraca do boju, nie pospieszyły na ich przyjęcie.

Dopiero wyskoczył Dobko z Oleśnicy naprzeciw pędzącego w przedzie wielkiego mistrza i poznał go po płaszczu, po tarczy i po wielkim relikwiarzu, który on nosił na piersiach, na pancerzu. Ale nie śmiał uderzyć kopią polski rycerz w relikwiarz, choć niezmiernie siłą mistrza przewyższał, więc ów podbił mu ostrze do góry, zranił nieco konia, poczem minąwszy się, zatoczyli koło i rozbiegli się, każdy ku swoim.

— Niemce! sam mistrz! — zakrzyknął Dobko.

Usłyszawszy to, kopnęły się z miejsca największym pędem ku wrogom chorągwie polskie. Pierwszy uderzył ze swymi Mikołaj Kiełbasa i znów rozgorzała bitwa.

Lecz czy to, że rycerstwo z ziemi Chełmińskiej, między którem wielu było ludzi polskiej krwi, nie uderzyło szczerze, czy też, że zaciekłości Polaków nic już nie mogło powstrzymać, dość, że ten nowy napad nie wywarł takiego skutku, jakiego się mistrz spodziewał. Zdawało mu się bowiem, że to będzie ostatni cios zadany potędze królewskiej, a tymczasem spostrzegł wkrótce, że to Polacy prą, idą naprzód, biją, rażą, biorą jakby w żelazne cęgi te hufce, a jego rycerstwo raczej się broni, niż naciera.

Próżno zachęcał głosem, próżno zapędzał mieczem w bój. Bronili się wprawdzie i bronili

mocno, ale nie było w nich ni tego rozmachu, ni tego zapału, który porywa wojska zwycięskie i którym rozgorzały serca polskie. W zbrojach potłuczonych, we krwi, w ranach, z poszczerbioną bronią, bez głosu w piersi, rwali się jednak w zapamiętaniu polscy rycerze ku najgęstszym kupom Niemców, a ci poczęli to zdzierać konie, to oglądać się za siebie, jakby chcąc wiedzieć, czy nie zamknęły się jeszcze te żelazne cęgi, które obejmowały ich coraz okropniej i ustępowali zwolna, ale ciągle, jakby pragnąc wydostać się nieznacznie z morderczego skrętu. A wtem od strony lasu zagrzmiały naraz nowe okrzyki. To właśnie Zyndram wprowadził i puścił kmieciów do boju. Zazgrzytały wnet po żelezie kosy, zagrzmiały pod cepami pancerze, trup jął padać coraz gęstszy, krew lała się strumieniem na zdeptaną ziemię i bitwa stała się, jak jeden płomień niezmierny, gdyż Niemcy, poznawszy, że tylko w mieczu ratunek, poczęli się bronić rozpaczliwie.

* * *

I zmagali się tak jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbiły się niespodzianie po prawej stronie bitwy.

— Litwa wraca! — huknęły radośnie głosy polskie.

I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić, niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nieludzką pędziła, jak wicher, na swych ścigłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów, a na ich czele Werner von Tetlingen, przyskoczyło do mistrza.

— Ratuj się, panie! — wołał pobladłemi usty komtur Elbląga. — Ratuj siebie i Zakon, póki się kolo nie zawrze.

Ale rycerski Ulrych spojrzał na niego ponuro i wzniósłszy rękę ku niebu, zawołał:

— Nie daj Bóg, abym ja opuścił to pole, na którem tylu mężnych poległo! Nie daj Bóg!

I krzyknąwszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w war bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa i stał się taki zamęt, taki wir i kotlowanie, że oko ludzkie nic już w nich rozróżnić nie mogło.

Mistrz, uderzon ostrzem litewskiej sulicy w usta i dwukrotnie raniony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy; wreszcie pchnięty rohatyną w szyję, zwalił się jak dąb na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników pokryło go zupełnie.

* * *

Werner Tetlingen z kilku chorągwiami pierzchł, lecz naokół wszystkich pozostałych chorągwi zamknęło się żelazne koło wojsk królewskich. Bitwa zamieniła się w rzeź i w klęskę krzyżacką tak niesłychaną, że w całych dziejach ludzkich mało zdarzyło się podobnych. Nigdy też w czasach chrześcijańskich, od walki Rzymian i Gotów z Atylą i Karla Młota z Arabami, nie walczyły z sobą wojska tak potężne. Ale teraz jedno z nich leżało już po większej części, jak zżęty łan zboża. Poddały się te chorągwie, które ostatnie wprowadził do boju mistrz. Chełmińczycy pozatykali w ziemię proporce. Inni niemieccy rycerze pozeskakiwali z koni na znak, że chcą iść w niewolę i poklękali na obluzganej krwią ziemi. Cała chorągiew św. Jerzego, pod którą służyli goście zagraniczni, uczyniła razem ze swym dowódcą to samo.

* * *

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wolało umierać, niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się teraz Niemcy wedle swego wojennego zwyczaju w ogromne kolisko i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą. Pierścień polsko-litewski opasał owo kolisko, jak wąż opa-

suje ciało byka i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmigały ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, cięły miecze, bodły oszczepy, chlastały topory i oksze. Wycinano Niemców, jak bór, a oni marli w milczeniu, posępni, ogromni, nieustraszeni.

Niektórzy, popodnosiwszy przyłbice, żegnali się z sobą, dając sobie ostatni przed śmiercią pocałunek; niektórzy rzucali się na oślep w ukrop bojowy, jakby zdjęci szaleństwem, inni walczyli, jak przez sen, inni nakoniec mordowali się sami, wbijając sobie w gardło mizerykordyę, lub porzuciwszy naszyjniki, zwracali się do towarzyszów z prośbą: «Pchnij!»

Zaciekłość polska rozbiła wkrótce wielkie kolisko na kilkanaście mniejszych kup i wtedy znów łatwiej było wymykać się pojedyńczym rycerzom. Ale wogóle i te rozbite gromady biły się ze wściekłością i rozpaczą.

Mało kto klękał, prosząc o litość, a gdy straszny zapęd Polaków rozpłoszył wreszcie i mniejsze kupy, nawet pojedyńczy rycerze nie chcieli oddawać się żywcem w ręce zwycięzców. Dzień to był dla Zakonu i dla wszystkiego zachodniego rycerstwa największej klęski, ale i chwały największej. Pod olbrzymim Arnoldem von Baden, otoczonym przez piechotę kmiecą, utworzył się wał polskich trupów, on zaś, po-

tężny i niezwalczony, stał nad nim, jak stoi słup graniczny, wkopany na wzgórzu, i kto zbliżył się do niego na długość miecza, marł, jakby piorunem rażony.

* * *

Najechał go wreszcie sam Zawisza Czarny Sulimczyk, lecz widząc rycerza bez konia i nie chcąc przeciw rycerskiemu prawu z tyłu nań uderzać, zeskoczył także z rumaka i począł nań wołać z daleka:

— Zwróć, Niemcze, głowę i poddaj się, alibo spotkaj ze mną!

A Arnold zwrócił się i poznawszy Zawiszę po czarnej zbroi i po Sulimie na tarczy, rzekł sobie w duszy:

— Śmierć idzie i moja godzina wybiła, albowiem jemu nikt nie odejmie się żywy. Gdybym jednakże go zwyciężył, zyskałbym chwałę nieśmiertelną, a może i życie ocalił.

To rzekłszy, skoczył ku niemu i starli się, jak dwie burze, na ziemi trupami zasłanej. Lecz Zawisza tak okrutnie siłą nad wszystkimi górował, że nieszczęśni to byli rodzice, których dzieciom wypadło się z nim spotkać w boju. Jakoż pod cięciem jego miecza pękła kuta w Malborgu tarcza, pękł jak gliniany garnek

stalowy hełm i mężny Arnold padł z rozciętą na dwoje głową.

* * *

Henryk, komtur człuchowski, ten sam najzawziętszy wróg polskiego plemienia, który zaprzysiągł, że póty dwa miecze każe przed sobą nosić, póki obu w krwi polskiej nie ubroczy, wymykał się teraz chyłkiem z pola, jako lis wymyka się z otoczonego przez myśliwców ostępu, gdy wtem zajechał mu drogę Zbyszko z Bogdańca. Krzyknął komtur, widząc nad sobą wzniesiony brzeszczot: «Erbarme dich meiner!» (oszczędź mnie) — i złożył z przestrachu ręce, co usłyszawszy, młody rycerz nie zdołał już wprawdzie wstrzymać ręki i rozmachu, ale zdołał jeszcze przekręcić miecz i płazem tylko w spasły, spotniały pysk komtura uderzył. I rzucił go potem swemu giermkowi, który, założywszy mu powróz na szyję, powlókł go jak wołu tam, dokąd spędzono wszystkich jeńców krzyżackich.

* * *

A stary Maćko szukał wciąż na krwawem pobojowisku Kunona Lichtensteina — i szczęsny we wszystkiem dnia tego los dla Polaków wydał go wreszcie w jego ręce w zaroślach, w których przytaiła się garść uchodzących ze stra-

sznego pogromu rycerzy. Blask słońca, który odbił się w zbrojach, zdradził ich obecność przed pościgiem. Padli wraz wszyscy na kolana i poddali się natychmiast, lecz Maćko, dowiedziawszy się, iż wielki komtur Zakonu znajduje się między jeńcami, kazał go stawić przed sobą i odjąwszy hełm z głowy, zapytał:

— Kunonie Lichtensteinie, zali poznajesz mnie?

A on zmarszczył brwi i utkwiwszy oczy w oblicze Maćka, rzekł po chwili:

— Widziałem cię na dworze w Płocku.

— Nie — odpowiedział Maćko — widziałeś mnie przedtem! Widziałeś mnie w Krakowie, gdym cię błagał o życie mego bratanka, który za nierozważny napad na ciebie na utratę gardła był skazan. Wówczas to ślubowałem Bogu i zaprzysiągłem na rycerską cześć, iż cię odnajdę i spotkam się z tobą śmiertelnie.

— Wiem — odparł Lichtenstein i wydął dumnie usta, chociaż zarazem pobladł mocno, — ale jeńcem twoim teraz jestem i zhańbiłbyś się, gdybyś miecz na mnie podniósł.

Na to twarz Maćka ściągnęła się złowrogo i stała się zupełnie do paszczy wilczej podobna.

— Kunonie Lichtensteinie — rzekł — miecza na bezbronnego nie wzniosę, ale to ci po-

wiadam, że jeśli mi walki odmówisz, tedy cię każę jak psa na powrozie powiesić.

— Nie mam wyboru, stawaj! — zawolał wielki komtur.

— Na śmierć, nie na niewolę — zastrzegł raz jeszcze Maćko.

— Na śmierć.

I po chwili starli się z sobą wobec niemieckich i polskich rycerzy. Młodszy i zręczniejszy był Kunon, lecz Maćko tak dalece siłą rąk i nóg przeciwnika przewyższał, że w mgnieniu oka obalił go na ziemię i kolanem brzuch mu przycisnął.

Oczy komtura wyszły z przerażenia na wierzch:

— Daruj! — jęknął, wyrzucając ślinę i pianę ustami.

— Nie! — odpowiedział nieubłagany Maćko.

I przyłożywszy mizerykordyę do szyi przeciwnika, pchnął dwukrotnie, a tamten zacharczał okropnie: fala krwi buchnęła mu ustami, drgawki śmiertelne wstrząsnęły jego cialem, poczem wyprężył się i wielka uspokoicielka rycerzy uspokoiła go na zawsze.

* * *

Bitwa zmieniła się w rzeź i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt

z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nie tylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszem rycerstwem wspomagały oną «przednią straż» teutońską, wżerającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset «białych płaszczów», przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekuistym śnie na onem krwawem boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernem wojskiem krzyżackiem, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocaliła się ani jedna i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który, wznosząc pobożnie oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: «Bóg tak chciał!» Stawiano też przed majestatem pana przedniejszych jeńców. Abdank Skarbek z Gór przywiódł szczecińskiego księcia Kazimierza, Trocnowski, rycerz czeski — księcia na Oleśnicy Konrada, a Przedpełko Kopidłowski herbu Dryja — mdlejącego z ran Jerzego Gersdorfa, który pod chorągwią św. Jerzego wszystkim gościom rycerskim przywodził.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze

królewscy spisywali jeńców, którzy, klękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armia krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła ogromny obóz krzyżacki, a w nim prócz niedobitków nieprzeliczoną ilość wozów, wyładowanych pętami na Polaków i winem, przygotowanem na wielką ucztę po zwycięstwie.

* * *

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł krótki, obfity deszcz i potłumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowic gotowali się właśnie zjechać na pobojowisko, gdy poczęto zwozić przed nich ciała poległych wodzów. Litwini przynieśli skłóte sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało wielkiego mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je przed królem, a on westchnął żałośnie i spoglądając na ogromne zwłoki, leżące na wznak na ziemi, rzekł:

— Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata...

Zaczem łzy poczęły mu spływać jak perły po policzkach i po chwili ozwał się znowu:

— Ale że śmiercią walecznych poległ, przeto sławić będziem jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczcimy go pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie w jeziorze, by przybrano je w piękne szaty i przysłoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Tymczasem przynoszono coraz nowe zwłoki, które rozpoznawali jeńcy. Przyniesiono wielkiego komtura, Kunona Lichtensteina, z gardłem okropnie mizerykordyą rozciętem, i marszałka Zakonu, Fryderyka Wallenroda, i wielkiego szatnego, grafa Alberta Szwarcberga, i wielkiego skarbnika, Tomasza Mercheima i grafa Wendego, który legł z ręki Powały z Taczewa, i przeszło sześćset ciał znakomitych komturów i braci. Czeladź kładła i jednego przy drugim, a oni leżeli nakształt zrąbanych pni, ze zwróconemi ku niebu i białemi jak ich płaszcze twarzami, z otwartemi szklanemi oczyma, w których zastygł gniew i duma, wściekłość bojowa i przerażenie.

Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie — wszystkie!! Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały, jakby do snu poległym. Zdala pod zorzą widać było oddziały litewskie, ciągnące zdobyte armaty, których po raz pierwszy użyli Krzyżacy w bitwie polnej, ale które nie przyczyniły żadnej szkody zwycięzcom.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze i dysząc utrudzonemi piersiami, spoglą-

dali na te chorągwie i na te trupy, leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży, radosny wieczór.

Więc niezmierne szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieli wszyscy, że to był wieczór, kładnący koniec nędzy i trudom nie tylko dnia tego, ale całych stuleci.

A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzał jakby w zdumieniu przed siebie i w końcu spytał:

— Zali cały Zakon tu leży?

Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie św. Brygidy, rzekł:

— Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!!...

Poczem podniósł dłoń i począł żegnać nie tylko tych, którzy leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jaskrawem od blasku zorzy i oczyszczonem przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe pobojowisko, zjeżone ułamkami włóczni, rohatyn, kos, stosami trupów końskich i ludzkich, wśród których sterczały do góry martwe ręce, nogi, kopyta — i ciągnęło się owo żałosne pole śmierci z dziesiątkami tysięcy ciał dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.

A w górze, na rumianem niebie, wichrzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, krocząc i radując się rozgłośnie na widok żeru.

* * *

I nie tylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas, jak fala, nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

* * *

Więc tobie, wielka, święta przeszłości i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!

LXXXIII.

Maćko i Zbyszko wrócili do Bogdańca. Stary rycerz żył jeszcze długo, a Zbyszko doczekał się w zdrowiu i sile tej szczęsnej chwili, w której jedną bramą wyjeżdżał z Malborga ze łzami w oczach mistrz krzyżacki, drugą wjeżdżał na czele wojsk polski wojewoda, aby w imieniu króla i królestwa objąć w posiadanie miasto i całą krainę aż po siwe fale Bałtyku.

KONIEC TOMU PIĘĆDZIESIĄTEGO SIÓDMEGO I OSTATNIEGO.

BINDING LIST MAR 15

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.57
486115
DATE.
NAME OF

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED